CZWARTEK Nr 152 22 XII 1983 Cena 5 zł.

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

DLA SPORTOWCÓW, HAZARDZISTÓW, MODELARZY

OSTATNI GWIZDEK!

Ostatni to już moment, by pomyśleć o gwiazdkowych zakupach! Jest to apel skierowany oczywiście, do tych trochę opieszałych (w tym również rodziców), bo zapobiegliwi mają już na pewno kłopot z głowy.

Czy zajrzeliście w swojej wędrówce po sklepach do Centralnej Składnicy Harcerskiej? Jeśli nie, to szkoda. Ale można jeszcze odrobić zaległości. Bowiem CSH przygotowała się do tegorocznej Gwiazdki całkiem dobrze. Szczególnie bogaty jest wybór gier i zabaw logicznych. Są tradycyjne warcaby, „chińczyki" i szachy, ale i super-nowości np.: „Eurobusiness" – interesująca (ale niestety droga – 890 zł) gra, podczas której można stać się milionerem, właścicielem banku, kilkunastu hoteli, albo zupełnym bankrutem; „Fokus" – gra dla czterech osób oparta na zasadach warcabowych. Nie brakuje też klocków, układanek, łamigłówek, gier zręcznościowych i innych różności, które z powodzeniem mogą znaleźć się pod choinką. Dla majsterkowiczów i modelarzy są skrzynki narzędziowe z podstawowym zestawem narzędzi do obróbki drewna. Są też zestawy do lutowania i elektroniczne typu „Młody technik" importowane z NRD. Tradycyjnie już w CSH znajdziecie największy wybór modeli do sklejania ze styropianu, drewna i kartonu. Dla amatorów sportów zimowych kupić można w CSH popularne narty młodzieżowe i dziecięce oraz sanki na metalowych płozach. Dyrekcja CSH zatroszczyła się także o import z NRD, ZSRR, Czechosłowacji, Chin i Jugosławii. Są to artykuły modelarskie z takich dziedzin jak kolejnictwo, lotnictwo, szkutnictwo, radioelektronika, ale niestety w małych ilościach.

Wszystkim spóźnialskim życzymy udanych zakupów gwiazdkowych, być może również w CSH. **(jz)**

Poznać artystę... po skrzydłach

Mają swoją piosenkę listonosze i kolejarze wąskotorowi, gondolierzy znad Wisły i kryzysowa narzeczona... A artyści? Kto pomyślał o artystach? O muzykach, aktorach, malarzach, poetach ze szkolnych kabaretów i harcerskich teatrzyków? Z osiedlowych klubów i Młodzieżowych Domów Kultury? Tych z mazowieckiej równiny, znad morza i od Tatr. Jak ich poznać? Może po skrzydłach, takich jak te u zielonego konika, zaprojektowanego przez dh. Pilarczyka?

A może po piosence, właśnie tej, którą harcerskie teatrzyki: „Łejery" z Poznania i „Wróbelki" z Witnicy rozpoczynać będą telewizyjny magazyn „Krąg" w każdą czwartą środę miesiąca o godzinie 16.40. Piosenka **Wandy Chotomskiej i Teresy Niewiarowskiej** pt. „Nasz konik", której nutki i tekst drukujemy poniżej, naprawdę sama wpada w ucho i chyba w sam raz nadaje się dla wszystkich artystów. Jak wstąpić do klubu zielonego konika dowiesz się z programu od dh. Tamary. **(tem)**

NASZ KONIK

Słowa: WANDA CHOTOMSKA

Muzyka: *TERESA NIEWIAROWSKA*

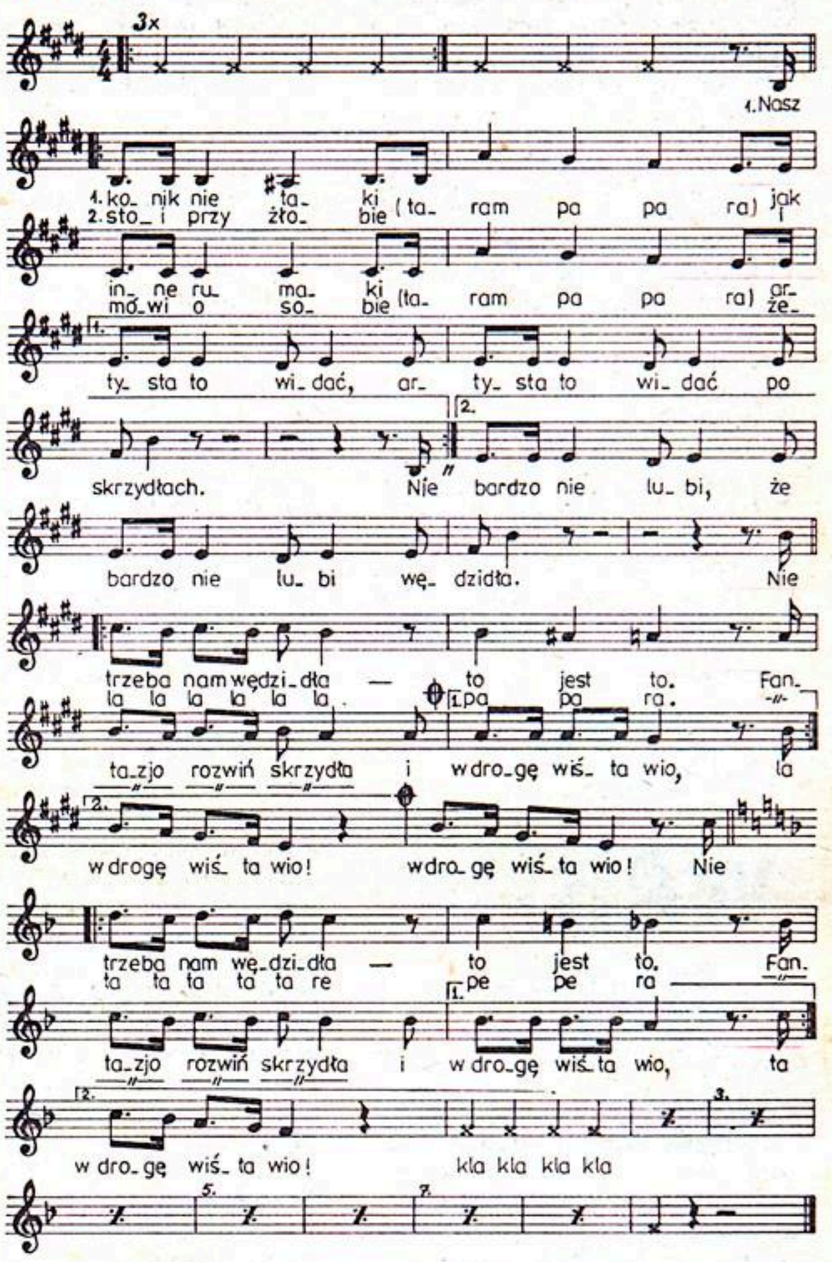

Nasz konik nie taki
jak inne rumaki,
artysta – to widać po skrzydłach.
Nie stoi przy żłobie
i mówi o sobie,
że bardzo nie lubi wędzidła.

Nie trzeba nam wędzidła –
to jest to.
Fantazjo rozwiń skrzydła
i w drogę wiśta wio!

Nasz konik – przyjaciel
nie człapie w kieracie,
nie damy mu klapek na oczy.
Z dziewczyną, z chłopakiem,
na przełaj, na bakier,
po górach, po chmurach przeskoczy.

Nie trzeba nam wędzidła... itd.

W kolory i dźwięki,
obrazy, piosenki
na koniu skrzydlatym pofruniesz,
więc bierz się do dzieła
galopem na przełaj,
kłaniaj się muzom jak umiesz

Nie trzeba nam wędzidła... itd.

Futbol pod dachem

Szansa dla wszystkich

(Inf. wł.) Zima i futbol nie lubią chodzić w parze. Ale pan Mikołaj Korzuń, nauczyciel z Zespołu Szkół Zawodowych Huty „Warszawa" jest innego zdania i już od lat organizuje halowe turnieje. Najbliższy ma numer „12" i przeznaczony jest dla piłkarzy z całego kraju.

Według wstępnych porozumień odbędzie się on na terenie Warszawy w dniu 5 lutego 1984 roku i uświetni 30-lecie ZSZ. Szkolne zespoły wystąpią w składach czteroosobowych (bramkarz plus trzech zawodników w polu). Drużyna, którą musi opiekować się dorosły trener, może ponadto posiadać dwóch graczy rezerwowych.

Zgłoszenia do imprezy należy kierować pod adresem: **Zespół Szkół Zawodowych Huty „Warszawa", ul. Pstrowskiego 3, 01-943 Warszawa**, z dopiskiem na kopercie **„Zimowa piłka"**.

Termin napływu zgłoszeń kończy się 10 stycznia.

Szczegółowe informacje można uzyskać pod warszawskimi telefonami: 34-71-93 (sekretariat szkoły) i 35-91-94 (pokój wf). **(zp)**

Sposoby na choinkę

Sposobów na zaopatrzenie się w choinkę jest co najmniej kilka. Pierwszy, wciąż najbardziej popularny – to biegać przed świętami od jednego choinkowego stoiska do drugiego i polować na jak najładniejsze drzewko. Drugi – biegać po sklepach w poszukiwaniu jak najładniejszej choinki sztucznej. Trzeci – nie dla wszystkich dostępny – to posadzić w ogródku, niedaleko okna świerk i przystrajać go na święta.

MOŻNA I TAK...

Czwarty – hodować nieduże drzewko w doniczce. Ale można też – jak widać na zdjęciu – zastąpić drzewko kompozycją z gałązek, odpowiednio przystrojoną. Takie kompozycje są coraz popularniejsze, a ostatnio coraz częściej wykonują je przed świętami uczniowie w szkołach, gdzie organizuje się nawet konkursy na najładniejszą kompozycję choinkową. **(tok)**

Fot. T. Kłosowski

JAK ZOSTAŁAM KRASNOLUDKIEM

Wszystko zaczęło się tak niewinnie. Ot, będziemy z zuchami zdobywać sprawność „Krasnoludka". Zasadziliśmy więc groszek, żeby obserwować jego rozwój, nauczyliśmy się kilku piosenek i pląsów krasnoludkowych. Dla zuchów, które wyróżnią się pożyteczną pracą w domu, czekały pierwsze krasnoludkowe imiona.

Wiadomo, że krasnoludki płatają figle. Ale tym moim jakoś dobre figle nie przychodziły do głowy, skoro Krzysiek po zbiórce zaproponował mi na ucho:

– Druhno, wiem co zrobimy. Podłożymy dziewczynom wypchaną mysz. Zobaczy druhna jak będą piszczeć...

Ech, te moje chłopaki! W tajemnicy przed dziewczynkami zwołałam tajną naradę chłopców. Trudno mi przyszło przekonanie ich, że dziewczęta bardziej ucieszą się z kolorowych serc niż z myszy. Wreszcie skapitulowali i następnego dnia dziewczęta znalazły w kieszeniach płaszczy serduszka z napisem: „Od krasnali". Była to pierwsza nasza akcja pod kryptonimem „Serce". Ponieważ jak się domyślałam, dziewczynki chciały też spłatać figielka chłopcom, więc zdecydowałyśmy o akcji „Auto". Samochody z kartonu dla każdego z nich!

W środkę wspólna akcja „Stokrotka". Były to kwiaty dla wychowawczyni podłożone niepostrzeżenie przed jej przyjściem do klasy.

A w czwartek... Wchodzę do harcówki, a tu zuchy patrzą na siebie porozumiewawczo. Nagle, wstaje dwóch malców i z uroczystymi minami wkłada mi na głowę złotą koronę.

– Mianujemy druhnę królem Błystkiem.

Poczułam się prawdziwie królewsko w koronie i z berłem w ręku (tłuczek od ziemniaków odpowiednio przyozdobiony). Domyślam się, że całą tą akcją „X" kieruje oczywiście... moja przyjaciółka.

W czasie zbiórki, już jako prawdziwy król, tym razem ja mianuję krasnoludkowymi imionami moich podopiecznych. Mamy więc Poziomkę, Bieżygroszka, Mądraczka, Hałabałę itd.

A teraz sprawa, która mnie przekonała, że moje zuchy umieją słuchać i myśleć. Opowiedziałam im krótką gawędę o krasnalu Grzybczyku, który pomagał zwierzętom i roślinom leśnym. Kiedyś, wracając do domu, potknął się o coś dużego. Była to lalka Elżbietki. Oczywiście, mimo zmęczenia po całym dniu pracy, odniósł lalkę zmartwionej dziewczynce. Wszedł nocą przez dziurkę od klucza i położył lalkę obok łóżeczka Eli.

Nie doceniłam jednak moich zuchów.

– Druhno, on wszedł przez dziurkę od klucza? – upewnił się Kuba, a słysząc moją twierdzącą odpowiedź ciągnął zadowolony:

– A jak przez tę dziurkę upchnął lalkę?

No tak, tego nie uzwględniłam w moim opowiadaniu. Ratuję się:

– Krasnoludki umieją czarować...

– To dlaczego od razu nie zaczarował, by lalka znalazła się u dziewczynki? – pyta z szatańską miną.

– One tylko umieję zmniejszać przedmioty do swojego wzrostu – udaje mi się jakoś wybrnąć.

– To co z nas za krasnoludki! Nawet czarować nie potrafimy.

I tu rozpętała się dyskusja: co by zrobili na miejscu Grzybczyka, oczywiście nie znając czarów. Moim chłopcom nie brakowało pomysłów, począwszy od przystawienia drabiny do okna aż do wezwania straży pożarnej. Dopiero Kasia zgadła o co mi chodzi:

– Poprosiłabym mamę Eli, żeby po cichu podłożyła jej tę lalkę i zostawiła karteczkę, że to krasnoludkowa sprawka.

I tak właśnie postępują zuchy-krasnoludki.

Wracając do domu znalazłam w kieszeni płaszcza serce z niezdarnym napisem:

„Dla kochanego krasnalka od krasnali".

I tak zostałam krasnoludkiem.

Iwona Jaworska
korespondent HSI „ŚM"

O HARCERZU MÓWIĄ...

Owszem, i to dosyć dużo. Częściej źle niż dobrze. Czasem aż przykro słuchać. Tym bardziej nieprzyjemnie, że nadawcami są osoby, z którymi mam kontakt na co dzień w szkole, w klasie.

Należę do jednej z lubelskich drużyn starszoharcerskich. Kiedy zaczynaliśmy pracować, postanowiliśmy położyć największy nacisk na oswojenie środowiska z nami.

Było więc rozpoczęcie roku harcerskiego, rajdy, andrzejki, można by myśleć, że zaakceptowano nas. Tymczasem odpowiedzią na naszą działalność jest wytykanie palcami, pogardliwe „czuwaj" czy złośliwe „patrz, socjalistyczne harcerstwo", kiedy to drużyna stawiła się w szkole w pełnym harcerskim umundurowaniu.

Inna migawka, bardziej bulwersująca. 10 listopada. Lublin. Plac Litewski. Za parę minut rozpoczną się uroczystości związane z 65 rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości. Wraz z moją przyjaciółką pełnię wartę przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Przypadek chce, że akurat wtedy przez plac przechodzi jedna z klasowych koleżanek. Na nasz widok, stojących przy pomniku w mundurach, biegnie do swoich przyjaciół i wytykając nas palcami z trudem oznajmia im tę nowinę, nie mogąc przy tym zahamować coraz to nowych wybuchów śmiechu. Jest mi przykro, widzę, że i Marzena czuje się głupio.

Swoje pierwsze kroki stawiałam w jednej ze środowiskowych drużyn Lublina, z której to wyniosłam oczarowanie, optymizm i chęć pracy w harcerstwie.

Dwukrotnie brałam udział w harcerskiej Operacji „Bieszczady 40" – dla każdego harcerza jest ona wspaniałą przygodą, którą można przeżyć tylko tam.

Obracając się w takim środowisku, gdzie mundur jest codziennością, budzi szacunek i sympatię, trudno przestawić się na tak pogardliwe jego traktowanie. Straciłam już nadzieję na zmianę sytuacji. Aczkolwiek pociesza mnie tylko to, że takie traktowanie drużyny przez środowisko jest odosobnione. Ale czy na pewno?

Jolka
19 LDH „Wagabundy"

CZY WARTO BYŁO

Niedługo już miną dwa lata od czasu, gdy Chorągiew Wrocławska ZHP zorganizowała w swoim ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym w Sobótce kurs drużynowych starszoharcerskich. Uczestniczyło w nim ponad 60 młodych ludzi pełnych chęci i zapału do pracy wśród harcerzy starszych. I choć nie brałam w tym kursie udziału, to znam go z częstych i barwnych opowiadań. Według opinii uczestników był bardzo udany i mile jest wspominany pzez wszystkich.

Nie tak dawno dwóch druhów wpadło na pomysł zorganizowania spotkania pokursowego. Część naszej drużyny (13WLDSh) postanowiło przyjrzeć się temu z bliska, więc odwiedziliśmy byłych kursantów w Sobótce. Ale cóż?! Okazało się, że na spotkanie przybyło niewiele ponad dziesięć osób. W dodatku nie przygotowali ciekawego programu, siedzieli więc wewnątrz budynku i włóczyli się smętnie z kąta w kąt. Atmosfera uległa poprawie podczas popołudniowej gry terenowej na obszarze masywu Ślęży, zmrok sprzyjał nam – czteroosobowej grupie uciekających i finał tej zabawy należał do nas. Wieczorny kominek naprawił nieco całodzienne niepowodzenia.

Było gwarno i wesoło. Ktoś zaproponował dyskusję na temat odbytego przed dwoma laty kursu. Czy w czymś pomógł? Czy łatwiejsza dziś praca jest jego zasługą?

– Było fajnie i wesoło, dużo się nauczyłam. Po powrocie rozpoczęłam pracę w drużynie X, nawet dobrze szła, ale potem była matura i... Zamierzam wrócić do czynnej działalności.

– Źle nie było, kurs pomógł, wiedzy przybyło, ale w praktyce trochę nie wychodzi. Trudno o autorytet w pracy z rówieśnikami.

– Najwspanialsi byli ludzie. Poznałem ich bardzo wielu, dużo im zawdzięczam, przeżyliśmy wspólnie mnóstwo przygód (tu następuje krótkie streszczenie jednej z nich), a i w głowie trochę pełniej, łatwiej prowadzić zastęp...

– Najpierw tu, potem tam, w tej drużynie byłam trochę, potem spróbowałam wśród innych ludzi (...)

Rozmowa trwała dalej, ale takie były mniej więcej wypowiedzi harcerzy, którzy dwa lata temu przyjechali tu, by zaczerpnąć łyk wiedzy nauczyć się postępowania ze swoimi rówieśnikami z drużyn. Czy im to coś dało? Twierdzą, że tak. Jednak nie wszyscy potrafią sprecyzować dokładnie co, mówią ogólnikowo, nie wspominają konkretnych sukcesów czy porażek.

O tym, że było fajnie wiedzą wszyscy, chętnie opowiadają ciekawe przygody i wydarzenia. To jest także bardzo ważne, bardzo wiele przecież zależy od atmosfery, zgrania całej grupy, ale przecież nie tylko na tym opiera się taki kurs. Chodzi przecież o to, czy wpłynął on pozytywnie na codzienną harcerską pracę, czy w tym pomógł. Odpowiedź na to pytanie zostawiam tym, którzy w nim uczestniczyli. A czy warto było? Chyba jednak tak.

Grażyna Jakubowska
korespondent HSI „ŚM"
13 WLDSh –

W HARCERSKIM KRĘGU

Prosimy o pomoc w zebraniu materiałów pamiątkowych, książek Aleksandra Kamińskiego i artykułów o nim, które wzbogaciłyby wiedzę o naszym bohaterze. Jesteśmy wiejską drużyną środowiskową – Drużyną Turystyczną im. A. Kamińskiego i pragniemy nawiązać kontakty z innymi bratnimi drużynami, szczepami, kręgami. Korespondencję prosimy kierować pod adresem:

W. Osowski

*

Jesteśmy początkującą drużyną zdobywającą imię Andrzeja Małkowskiego i zwracamy się do drużyn, które obrały sobie tego samego patrona co my, z gorącą prośbą o nawiązanie współpracy. Korespondencję prosimy kierować pod adresem:

Anetta Bąk

*

Jesteśmy 20 Drużyną Starszoharcerską działającą przy II Liceum Ogólnokształcącym im. gen. Aleksandra Zawadzkiego w Świdnicy. Szukamy zdjęć i wszelkich informacji o bohaterze naszej drużyny Andrzeju Romockim, ps. „Morro". Adres dla korespondencji:

Violetta Kaczmarek

Kącik Przyjaciół

● Założyłam razem z moją koleżanką klub dla tych, co kochają psy. Każdy, kto do nas napisze, zostanie honorowym członkiem klubu. Odpiszemy na listy. Będziemy wysyłać zdjęcia z psami i służyć radami. Możecie pisać do mnie lub do mojej kuzynki, **Natalia Witek,** **Małgorzata Kaczmarek,** ; ● Mam 14 lat, pragnę znaleźć jakąś miłą dziewczynę, mieszkankę woj. wrocławskiego, **Grzegorz Chwastyk, woj. wrocławskie;** ● Mam 12 lat i siostrę starszą o 3 lata. Kto chce poznać zagorzałą przeciwniczkę papierosów i alkoholu, niech napisze, **Beata Łoś,** ● Mam 11 lat. Interesuję się prawie wszystkim. Podoba mi się język rysyjski i japoński. Nie cierpię mleka, kocham zwierzęta. Staram się zbierać znaczki, **Aleksandra Łojek,** ● Lubię muzykę, kocham przyrodę, książki. Nie znoszę przedmiotów ścisłych i jazzu. Mam poczucie humoru i miłego pieska, **Katarzyna Florek,** ● Mój znak zodiaku to Rak. Interesuje mnie muzyka rozrywkowa oraz wszystko to co dziwne, niesamowite, tajemnicze, **Paweł Grochowski,** ● Interesuję się kynologią i akwarystyką. Kocham zwierzęta, najbardziej psy, **Katarzyna Sztabińska,** ● Mam 16 lat, pasjonuję się lotnictwem, kolekcjonuję modele plastikowe samolotów, **Bogdan Kwiatkowski,** ● Mam 15 lat i chcę zostać pielęgniarką. Kto chce mnie bliżej poznać, niech napisze, **Izabela Krzeszewska,** ● Jestem uczennicą technikum. Lubię bardzo marzyć, jestem wesoła i zawsze uśmiechnięta. Nie lubię łez, jazzu i kujonów. Lubię rozmawiać na tematy młodzieżowe, **Anna Stawikowska,** ● Mam 158 cm i nieokreślony kolor oczu. Jestem okropnie brzydka. Uwielbiam książki. Kocham muzykę i włóczęgę po świecie (na rowerze). Mam 15 lat. Znajomi nazywają mnie „wariatką z warkoczem", **Małgorzata Leśko,** ● Kocham sport, muzykę rozrywkową i zwierzęta. Mam skończone 11 lat. Hoduję chomiczkę i zbieram pocztówki, **Jolanta Niewiadomska,** ● Mam 14 lat. Jestem dość wesoły. Interesuję się futbolem oraz spadochroniarstwem. Nie lubię ortografii, **Jacek Szczygło,** ● Urodziłam się w piątek, dnia 24 września 1971 roku. Jestem niska (137 cm). Lubię matematykę, zwierzęta, lubię też rozwiązywać krzyżówki, **Dorota Jaśko,**

REDAKCYJNA POCZTA

Jakie są nastolatki?

W „Redakcyjnej Poczcie" znajdują się nawet ciekawe listy – tylko że bardzo często się powtarzają: jestem zakochana do szaleństwa, on nie zwraca na mnie uwagi.

Myślę, że chyba każdy ma w swoim gronie jakąś bliską osobę. Czy nie mógłby z nią o tym porozmawiać? Bardzo rzadko spotykam listy od chłopców: jest to godne zastanowienia. Hm, dzisiejszy 16, 17, 18, 19-letni chłopak woli pograć w piłkę, niż iść z dziewczyną do kina, teatru itp. Niejedna z nas w tej chwili pomyśli: tak, to prawda. Ale dlaczego tak się dzieje? Czyżbyśmy ich nudziły? Tak, moje panie, to jest gorzka prawda, my po prostu naszych panów zanudzamy. Ciągle te same tematy: Podoba Ci się moja fryzura? Ach, jak ona jest okropnie ubrana. Ale ma nogi, ale jest brzydka itp.itd.

Zastanówmy się – w jakim stawiamy się świetle? Dziewczyny, nie lubię pouczać, ale naprawdę powinnyśmy się zmienić. Na przykład: większość młodych ludzi pali, choćby chłopcy. Im jakoś to ujdzie, ale dziewczyna z papierosem – to widok bardzo niesmaczny. Jestem na stacji z koleżanką i rozmawiamy sobie tak o wszystkim, raptem ona mówi: Masz coś zapalić? – odpowiadam zgodnie z prawdą: Nie. Więc ona podchodzi do pierwszego lepszego chłopaka i prosi o papierosa. Fe, jak to brzydko, ordynarnie wygląda. Niestety, to prawda, dzisiejsze dziewczęta są gorsze od chłopców. Ale przecież to nie tylko wina dziewcząt, także i naszych „nowoczesnych" mam. Taka mama pozwala córeczce na wszystko – kupuje jej zagraniczne, modne ciuszki, ufa jej – a córeczce nic nie brakuje, nic do szczęścia nie potrzebuje, wykorzystuje mamusię i jej zaufanie i najnormalniej „nabija ją w butelkę".

Mówi: Mamusiu, jadę do Basi w piątek po szkole i będę u niej nocowała. Zgadzasz się? Dobrze, kochanie jedź. I córeczka jedzie, ale nie do Basi, Krysi, lecz do osoby płci przeciwnej. Czy to postępowanie godzi się z postępowaniem wspaniałej i ukochanej, rozpieszczonej córeczki? Chyba nie. Ale cóż, taka jest prawda, tak przeważnie postępuje „nowoczesna" dziewczyna.

Uwierzcie mi, nawet najładniejsza dziewczyna, modnie ubrana, z papierosem w ustach, z nadąsaną, obrażoną „królewską" i wyniosłą miną wygląda okropnie.

Chciałabym wrócić jeszcze do tej sprawy, o której pisałam na początku; my, w naszym wieku (lat – naście) patrzymy nie na wartości wewnętrzne, ale na urodę, forsę (możliwe, że nie wszystkie, ale większość na pewno).

Jest taki wers z „Małego Księcia": „Nie wierz swym oczom – szepnął wiatr. Jeżeli kochasz – sercem patrz".

P.S. W ogóle temat o nas (dziewczętach) jest niewyczerpany. Mam nadzieję, że ktoś jeszcze napisze, co o tym sądzi. Ejże, koledzy, nie róbcie takich min, poczekajcie troszkę, wy też najecie się wstydu. Wy wcale, ale to wcale nie jesteście lepsi. Może się nie zgodzicie?...

„Siedemnastolatka"

Jesteśmy jedną rodziną

Na samą myśl o zbliżających się świętach dzieci przeżywają radosne podniecenie. Jakie będą w tym roku? Czy takie jak zawsze?

W Państwowym Domu Dziecka nr 2 w Gliwicach kilkudziesięciu wychowanków z niepokojem oczekuje radosnych, świątecznych dni. W ich domu do tego jedynego w roku wieczoru, kiedy wszyscy spotykają się przy wigilijnym stole, przygotowują się gorączkowo, by ze wszystkim zdążyć na czas. W tej ogromnej dziecięcej wspólnocie każdy ma swoje obowiązki, z których stara się najlepiej wywiązać.

W przeddzień Wigilii chłopcy idą na targ po choinkę. Wiedzą, że musi to być choinka niezwykła, pełna aromatycznego, leśnego zapachu jodła, która stanie w jadalni i będzie im towarzyszyła przez całe święta. Wprawdzie i w poszczególnych pokojach, na korytarzach i w świetlicy również zapłoną choinkowe światełka – ale to drzewko w jadalni jest najważniejsze.

Darek Janik nie pierwszy raz będzie oprawiał tę najważniejszą jodełkę. Zna się na tym i jak nikt inny poza panem Bolkiem – woźnym potrafi prosto osadzić ją w stojaku. W tym czasie, gdy chłopcy zajmują się drzewkiem, dziewczęta przygotowują wigilijne stroiki i ozdoby, które zawieszą na choinkach.

A w kuchni tymczasem – pełne szaleństwo. Ryby jak żywe wyślizgują się z rąk kucharek i ich młodszych pomocnic. Przygotowuje się je na dwa sposoby. Większość woli rybę smażoną, ale są również zwolennicy karpia w galarecie, na zimno, przyozdobionego jarzynami i jajkiem na twardo. Na noc potrawy lądują w chłodni.

Iwona Górecka i Stasia Nowak wielokrotnie już uczestniczyły w wigilijnych przygotowaniach. Posiadły trudną sztukę robienia farszu do uszek i do pierogów, które nadziewają kapustą i grzybami. W piekarnikach tymczasem nabierają kolorów i nęcą zapachem makowce, murzynki i serniki. Ale większa część słodkości została już upieczona w pobliskiej piekarni wojskowej, dokąd chłopcy zanieśli gotowe do wypieku blachy. Torty – okazy kunsztu cukierniczego pani Gosi – budzą pożądanie w oczach nawet najmniej łakomych. A jest się za czym oblizywać!... Każdy jest inny: kakaowy, orzechowy, z kremem truskawkowym i z masą cytrynową.

Późny wieczór kładzie kres przedwigilijnym przygotowaniom. Syci wrażeń mali gospodarze zapadają w głęboki, pełen dziecięcych marzeń sen o jutrze.

Rankiem, gdy po śniadaniu na choinkach pojawią się własnoręcznie wykonane ozdoby z kolorowego papieru: łańcuchy, gwiazdy, bombki, cukierki, orzechy, świeczki i lampki – podniecenie sięga szczytu. Całe popołudnie upływa pod znakiem niecierpliwego oczekiwania na pierwszą gwiazdkę. Nim jednak to nastąpi, po obiedzie, na który zgodnie z tutejszą tradycją jedzą pieczone w piekarniku ziemniaki i śledzie popijając kwaśnym mlekiem – ustawiają długi wspólny stół, nakrywają go śnieżnobiałym obrusem, na którym oprócz nakryć do wieczerzy kładą wigilijne stroiki.

O godzinie szesnastej w łazienkach zaczyna się ruch. Każdy chce wyglądać jak najlepiej. Dziewczęta wyrywają sobie z rąk suszarki do włosów, lokówki, układają wymyślne fryzury, biegają między pokojami to po żelazko, to po jakiś konieczny drobiazg, bez którego ani rusz... I spieszą się, bo czekają na nie obowiązki. Trzeba jeszcze wrzucić do wrzątku uszka, pierogi i podgrzać barszcz. Wszystko to odbywa się pod czujnym okiem domowej mamy, pani dyrektor mgr Marii Kuli i wychowawczyni pani Heleny Pawlity – które od wielu już lat spędzają wraz ze swoimi domownikami wszystkie rodzinne święta.

Z nadejściem godziny osiemnastej – kiedy wszystko zostało już przygotowane – rozpoczyna się ten najważniejszy w roku wieczór. Chwila dzielenia się opłatkiem, gdy wszyscy mają łzy w oczach i zapominają o tym, co jeszcze wczoraj wydawało się dokuczliwe, gdy rzucają się sobie w ramiona składając życzenia, by przy następnej Wigilii dane im było spotkać się w tym samym gronie.

Andrzej Philipp przeżył w Domu Dziecka kilkanaście Wigilii i zawsze niecierpliwie czeka na ten wieczór. – Mimo że w ciągu roku bywamy dla siebie różni – to w ten jedyny wieczór wszystko idzie w zapomnienie i stajemy się jak nowi.

Iwona Górecka, która rokrocznie pilnuje, by tradycji stało się zadość i przy wigilijnym stole pozostwiono jedno wolne miejsce, dwa lata temu zaprosiła na wieczerzę żołnierzy, którzy w pobliżu ich domu pełnili służbę.

– Przyjęli to zaproszenie z radością, choć – jak wspomina Iwona – wprawili nas w kłopot, gdzie ich wszystkich posadzimy, bo zamiast jednego zjawiło się pięciu. Ale i na to znalazła się rada. Kto żyw rzucił się do pokoju i w mig znalazły się potrzebne krzesła. I oni, i my byliśmy bardzo wzruszeni i szczęśliwi.

– Po wieczerzy zawsze zmywamy naczynia – mówi Iwona Nowakowska – a potem przechodzimy do świetlicy po podarki. Przez następne kilkanaście minut słychać tylko okrzyki radości i szelest rozdzieranego papieru, spod którego wysypują się same wspaniałości: gry, zabawki, maskotki, modele samolotów, samochodziki, lalki, misie, rajstopy, rękawiczki, czekolady, pomarańcze... A później, gdy znajdziemy się w swoich pokojach, długo jeszcze w nocy rozmawiamy o minionych świętach. Gdy zdarzy nam się spędzać je poza naszym domem – myślimy o tych wszystkich, którzy w nim zostali. Jesteśmy przecież jedną rodziną...

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

Jesteśmy jedną rodziną

KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

Tak przynajmniej twierdził pan Klemens Kohnke, na całym półwyspie nazywany po prostu „Wuja Klemens", z którym przed kilkunastu laty przeprowadzałam wywiad do reportażu. Wuja Klemens to był „ktoś". Urodzony w Jastarni, znał na tym wąskim pasie ziemi, niewiele wystającym ponad poziom morza, każdą wydmę, każde drzewko, a w samym Helu – każdego mieszkańca, jako że od 1921 roku aż do wojny, a także w pierwszych latach po wyzwoleniu, sprawował tu urząd wójta.

Twierdził również, że w odległych wiekach istniał inny, niezwykle bogaty Hel. Zamieszkiwali to miasteczko kupcy i rybacy. I jak to w życiu często bywa, helanom z tego dobrobytu poprzewracało się w głowach. Stali się chciwi i nieżyczliwi dla innych. Za karę, miasto wraz z mieszkańcami pochłonęło morze, a wielki sztorm rozerwał półwysep na pół, tworząc z niego dwie wyspy...

Można wierzyć, lub nie, ale wystarczy popatrzeć na herb obecnego Helu – widnieją na nim dwie gwiazdy i klucz. Klucz – wiadomo – otwiera drogę do Gdańska, bo kto ma Hel, ten musi i Gdańsk posiadać. A te gwiazdy symbolizują owe dwie wyspy...

Wuja Klemens zaklinał się, że jest i inny ślad po dawnym Helu. Przed każdym wielkim sztormem, z głębi znajdującej się kilkadziesiąt metrów od główek portowych[1], można usłyszeć bicie dzwonów zatopionego kościoła – jest to ostrzeżenie, że nowemu Helowi również grozi zagłada...

Wuja Klemens opowiadając mrużył oczy, pykał wypuszczając kłęby dymu z nieodstępnej fajeczki i zapewniał, że on również te dzwony kiedyś słyszał. Mówił też, że na własne oczy oglądał bardzo starą mapę, na której „Krowi Ogon" – jak Kaszubi nazywają Półwysep Helski – przedstawiony był jako szereg wysp.

– Bo najpierw były wyspy – opowiadał – a dopiero dużo później wiatry i morze naniosły piasku, zasypując między nimi przesmyki... Wuja Klemens zapowiadał również, że tym złym wiatrom grożącym półwyspowi, dopomogli ludzie, budując we Władysławowie port rybacki. Ten port powoduje, że prądy nie dosypują już półwyspowi piachu, i że to wszystko źle się kiedyś skończy...

Historyczne zdjęcie z końca stycznia tego roku przedstawia krajobraz po wielkiej bitwie. Tę batalię wygrało morze, zabierając zalesioną wydmę

Wiatr go usypał, (1) wiatr go rozniesie...

KIEDY CZŁOWIEK ZAWINI...

Nadmorskim brzegom Azji grożą tajfuny. Cyklony sieją spustoszenie w tropikalnej strefie oceanów. Zdawałoby się, że na naszej szerokości geograficznej wybrzeżu morskiemu nie grożą tego rodzaju klęski. Nic bardziej mylnego. W historię nadbałtyckich miejscowości wpisane są wielkie sztormy, które w przeciągu krótkiego czasu niszczyły wieloletni nieraz dorobek ludzki. I tak na przykład w 1497 roku wichura zniszczyła wszystkie wiatraki między Darłowem i Kołobrzegiem. W Dobrzycy zawaliła kościół, zniszczyła Łebę. W tym samym czasie w Darłowie morze wdarło się dwa kilometry w głąb lądu i wyrzuciło statki w miejscu, gdzie obecnie znajduje się dworzec kolejowy! Nad jeziorem Jamno w 1690 roku sztorm zniszczył osadę, zasypał port Łazy i kanał łączący jezioro z morzem. Natomiast o trzy kilometry dalej na zachód morze rozdarło wydmy i wymyło między nimi nowy kanał istniejący do dziś. Ten sam sztorm zniszczył w Unieściu wszystkie domy. Kroniki mówią, że przyczyną tak wielkich klęsk było wycięcie lasów porastających nadmorskie wydmy...

A Hel... Hel ma swoją odrębną kronikę sztormową. Te najgroźniejsze zwane są sztormami wszystkich świętych, bo występują jesienią i sylwestrowymi, bo nękają w styczniu. Krowi Ogon, dziw natury, 35-kilometrowe pasmo piachu oddzielające małe morze, czyli Zatokę Pucką, od wielkiego morza, zagrożone jest szczególnie wówczas, gdy wichura wiejąc z zachodu spiętrzy wodę w Zatoce Puckiej lub gdy sztorm goni fale z północnego zachodu.

Przed niespełna rokiem, 18 stycznia, na półwyspie zaczęło się od... deszczu. Deszcz przeszedł w burzę. Pioruny waliły, jakby chciały przerąbać ten skrawek ziemi. Potem zaczął sypać śnieg. Wiatr tężał. Jego prędkość daleko przekroczyła dwunastostopniową skalę Beauforta[2]. Spiętrzył wodę w Zatoce Puckiej. Fale wdarły się od strony zatoki do Chałup i Jastarni. Szosę w niektórych miejscach pokryła półmetrowa warstwa wody. Jakby nie dość tego, wiatr zmienił kierunek i uderzył od strony pełnego morza. Półwysep otoczyła kipiel. W Kuźnicach przelewające się fale zagroziły torom kolejowym. Następnego dnia komunikacja została przerwana. Wprawdzie dwudziestego stycznia wiatr przycichł, ale morze nadal atakowało...

Z KRAJOBRAZU ZNIKŁY... WYDMY

Kiedy już po sztormie wysiedliśmy z samochodu w Nowej Kuźnicy, dawniej zwanej Syberią, nie mogłam poznać miejsca, które przecież dobrze znałam. Budynki wprawdzie stoją jak stały, ale boisko sportowe zawalone piachem. Wzdłuż torów i szosy piętrzą się worki z piaskiem – dzieło żołnierzy, pracowników Obwodu Ochrony Wybrzeża z Rozewia i mieszkańców, którzy stawiali, a raczej układali takie barykady przeciwko żywiołom.

Jeszcześmy się nie zdążyli dobrze rozejrzeć, a już znaleźli się przewodnicy. Magda Budzisz, Joasia Felisiak i Marcin Budzisz, wracający akurat ze szkoły, zaproponowali, że pokażą nam co tu morze nabroiło. A więc po pierwsze – zabrało wydmy. No tak, wydma na długości kilkudziesięciu metrów znikła z krajobrazu. Stąd to dziwne wrażenie obcości, bo przez rzadkie pnie drzew, tam gdzie kiedyś piętrzyły się góry piachu porośnięte lasem, prześwituje morze. Nie ma wydm. Nie ma sosnowego lasu. Natomiast woda wypłukała amunicję ukrytą w wydmach przez żołnierzy września, a nawet – moi przewodnicy nie są pewni czy w Jastarni, czy w okolicach Kuźnicy – prawdziwą armatę! Oczywiście armatę zabrało wojsko, oczyściło też teren ze skorodowanej już amunicji, ale gdzieniegdzie sterczą z piachu jakieś dziwne rekwizyty, podobne do bateryjek. Nasi przewodnicy, odpowiednio przeszkoleni przez żołnierzy WOP-u, z którymi się przyjaźnią, przestrzegają, żeby niczego nie dotykać.

Wyjaśniają też, że właśnie między boiskiem a szosą, gdzie szerokość półwyspu sięga niepełnych 200 metrów, woda z morza przelewała się przez tory, do Zatoki Puckiej. Że amfibią przyjechali żołnierze, wbili w nasyp kolejowy dwie potężne rury, jedną obok drugiej, żeby przepuścić tę wodę i uchronić w ten sposób nasyp i tory, które już miejscami wisiały w powietrzu. Zwozili też tą amfibią worki z piachem i kładli je razem z mężczyznami z Syberii na nasyp – wiele z tych worków porywało morze – lecz tory zostały uratowane.

Trzy dni w szkole nie odbywały się zajęcia, ale potem wszystko wróciło do dawnego życia. No, może nie tak od razu, przecież cały półwysep został pozbawiony wody zdatnej do picia, bo do studni naniosło nieczystości z wypłukanych przez morze szamb. I wszyscy mieszkańcy półwyspu w związku z tym przeszli szczepienia ochronne, a w wielu piwnicach długo jeszcze stała woda i zmarnowało się wiele dobytku.

Marcin jednak twierdzi, że to wszystko drobiazgi, bo kiedy jeszcze ani jego, ani jego mamy nie było na świecie, przyszła taka powódź, że z Helu zostały trzy wyspy...

Później, już w Helu, w rozmowie z rybakami znowu usłyszałam tamtą przypowieść, którą przed laty opowiadał niezapomniany Wuja Klemens...

ROZNIESIE, CZY NIE ROZNIESIE?...

– Zapytałam więc pewnego dnia dyrektora do spraw technicznych w Urzędzie Morskim w Gdyni – pana inżyniera Henryka Brodę. Ale odpowiedź na to pytanie znajdziecie w najbliższym numerze wtorkowym.

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. **autorki**

[1] główki portowe – zakończenie falochronu lub mola w miejscu gdzie znajduje się wejście do portu.

[2] skala Beauforta – kończy się na dwunastym stopniu, a taką siłę ma wiatr wiejący z prędkością 32 metrów na sekundę. Wiatr, którego prędkość przekracza tę skalę zwany jest huraganem.

Nasi przewodnicy – Magda Budzisz, Joasia Felisiak i Marcin Budzisz w miejscu, gdzie wznosiła się wydma

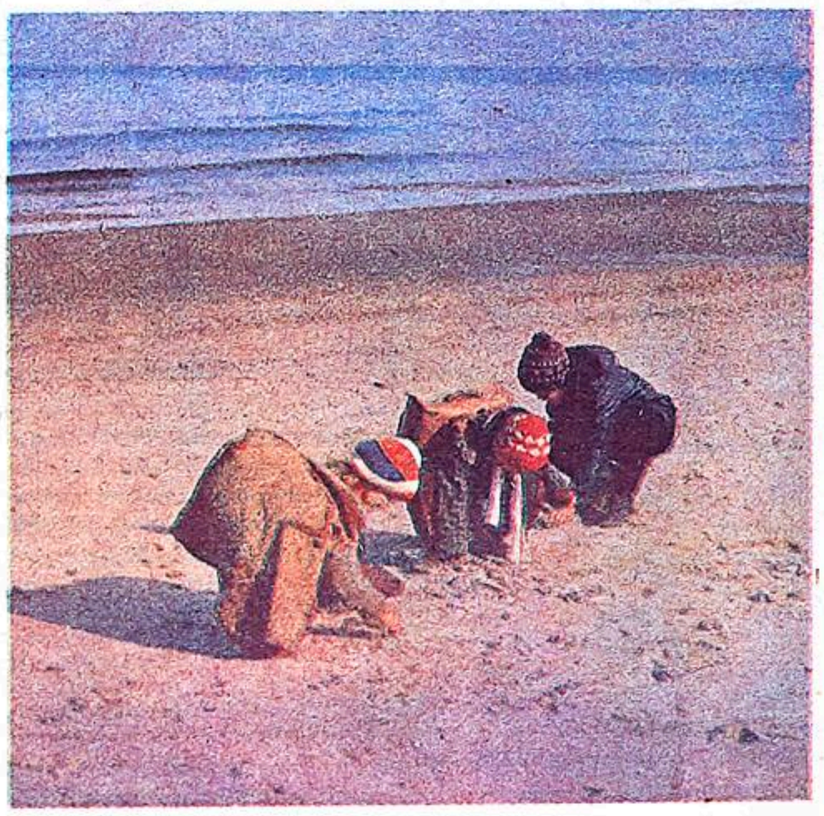

Nadmorska sosenka na Helu, wczepiona korzeniami w piach

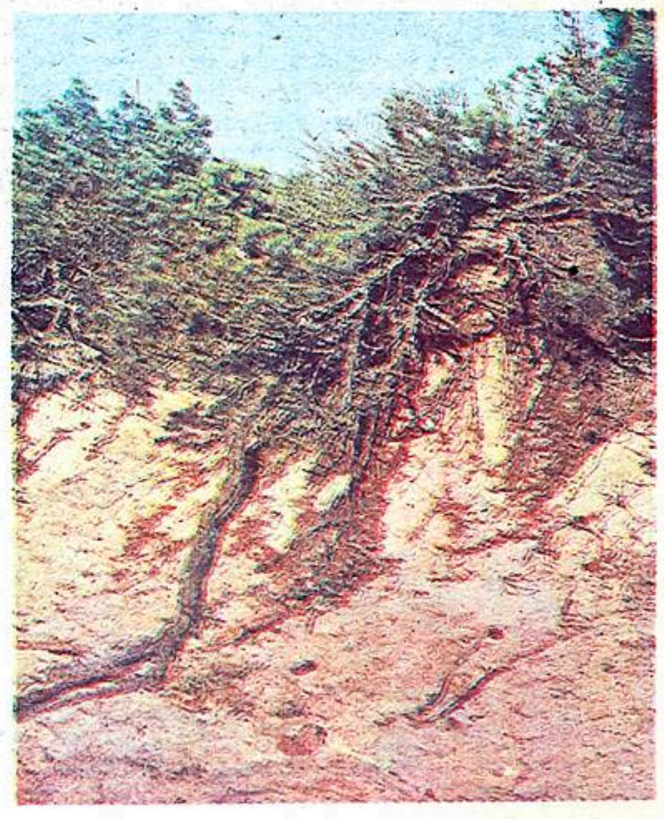

CHOINKI ZZA GÓR I OCEANÓW

Wiecie, jakie drzewko najchętniej ustawiają w swych domach na święta Amerykanie? Otóż sosnę pospolitą, *Pinus silvestris*. Tę samą, która tworzy większość naszych lasów zajmując nawet najuboższe, piaszczyste pagórki. W Ameryce jednak ona nie rośnie (choć rosną liczne jej krewniaczki), więc Amerykanie sprowadzają nasiona z Europy. U nas tylko nieliczni uważają to pospolite drzewo za godne tego, by ozdabiało mieszkania w czasie świąt. Wolimy świerk, a poszukiwanym rarytasem w czasie świąt jest jodła.

Ale cóż... Od kilku lat pozyskiwanie i sprzedaż choinek jodłowych jest w naszym kraju zabroniona. Bo też źle dzieje się z rodzimą jodłą, która jako drzewo szczególnie wrażliwe, zaczyna chorować, usychać, czemu winne są przede wszystkim przemysłowe zanieczyszczenia powietrza. Więc młodych jodeł nie sposób w tej sytuacji wycinać po to tylko, by jakiś czas postały w domu. No, ale na świecie rośnie 50 gatunków jodeł, z tego kilka w Europie. Czy nie moglibyśmy sprowadzić niektórych do nas – jak to choćby czynią Amerykanie z sosną? Owszem, próby zaaklimatyzowania obcych drzew iglastych i liściastych w naszych lasach od dawna są czynione. Choćby przez Leśny Zakład Doświadczalny SGGW AR w Rogowie. Oczywiście nie tylko po to, by łatwiej było o choinkę...

Jodła sachalińska z dalekiej północy, rachityczna i rzadka, bo u nas uszkodziły ją wiosenne mrozy

Dr Jerzy Tumiłowicz

Na choinkę niedobra, bo za szybko rośnie

Właśnie świeży, mokry śnieg świątecznie przystrajał setki rosnących w Rogowie drzew iglastych rozmaitych gatunków, gdy wraz z **dr. inż. JERZYM TUMIŁOWICZEM** kierownikiem tutejszego arboretum* szedłem obejrzeć dotychczasowe dokonania...

Oto **jodła olbrzymia** z zachodniej części Ameryki Północnej, jedno z najbardziej obiecujących drzew. Na niewielkim poletku gąszcz młodych osobników. Młodych, ale już dościgających wzrostem stojące obok kilkudziesięcioletnie sosny. Jodła olbrzymia nie jest od tej naszej odporniejsza np. na mróz, drewno ma mniej więcej tej samej wartości. Czy znosi lepiej zanieczyszczenia powietrza – dopiero się okaże. Ale lubi klimat polarno-morski, więc będzie ją można sadzić w północno-zachodniej części Polski, gdzie rodzima jodła nie sięga. To już poważna korzyść. No, ale przede wszystkim to drzewo szybko dorasta do imponujących rozmiarów, więc i prędko dostarczy dużej ilości drewna.

Dr Tumiłowicz wskazuje na dziesiątki wypukłości, widocznych na pniu. To pęcherze żywiczne. Jodły nie mają bowiem żywicy w drewnie, lecz gromadzą ją w takich właśnie pęcherzykach. Rozgniatam jeden. Tryska ciecz o wspaniałym zapachu. To jakby ustokrotniona woń gałązek jodłowych z domieszką aromatu pomarańczy lub cytryny. Żywica pozostaje na palcach, na ubraniu, więc ta woń będzie mi towarzyszyć już przez cały dzień. Gałązki tej jodły, zielone i kształtne, też mocno pachną, nadadzą się więc świetnie na stroisz choinkowy. Ale ładnych choinek to drzewo nie dostarczy: za szybko rośnie, więc odstępy między kolejnymi piętrami gałązek ma zbyt duże i choinka jest zbyt rzadka.

Nie nadaje się też na choinki, ani nawet na stroisz **świerk sitkajski**. Gęste, pokręcone gałązki mają bardzo kolące igły. Ale, gdy idzie o produkcję leśną – jest obiecujący. Inaczej z **żywotnikiem olbrzymim**, czyli **tują**. Widzę duże skupienie tych drzew, jeszcze młodych, ale wyniosłych, prostych jak strzały. To rosłe drzewo dostarcza świetnego budulca. Gałązki mają oryginalny pokrój, a i woń wyjątkową.

Nie opodal 10-arowy, gęsty drzewostan **daglezji**. W poprzednich latach pozyskano stąd 200 choinek i sprzedano po 100 zł sztuka. Szły jak woda. Drzewo to przypomina jodłę, stąd chętnych nie brakowało. Zakład zrobił w ten sposób znakomity interes, choć nie to wcale miał na oku. Chodziło o dokonanie koniecznych cięć rozluźniających drzewostan. To jeden przykład więcej, że pozyskiwanie choinek nie szkodzi lasom – wprost przeciwnie...

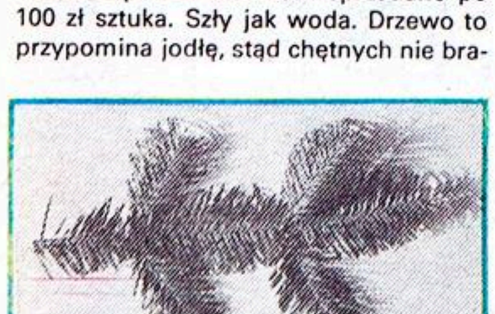

Jodła olbrzymia

Jodła kalifornijska – płaskie gałązki, bardzo duże igły

Sosna żółta o bardzo dużych igłach

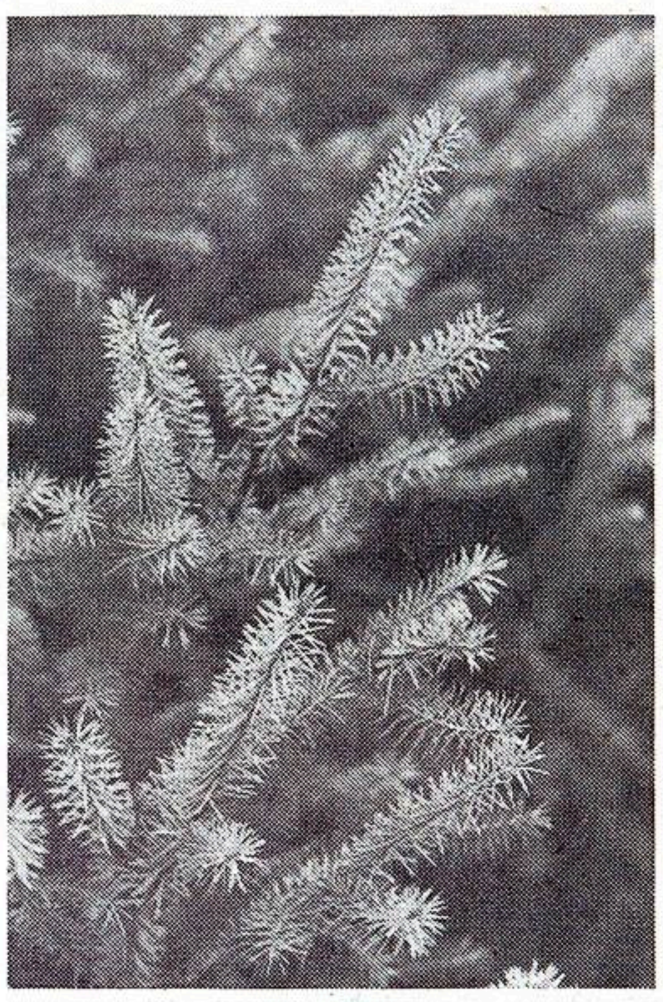

Gałązka kolącego świerka sitkajskiego

Kawałek dalej – inny widok. Niskie drzewka – kikuty, wyglądające, jakby je ktoś oskubał z większości gałęzi. To **jodły syberyjskie**, z racji swego pochodzenia odporne na mróz. Kto je tak okaleczył. Ano, mróz właśnie! Na Syberii wiosna przychodzi co prawda późno i po ciężkiej zimie, ale jak już przyjdzie, to na dobre. Wtedy młode pędy rozwijają się bez przeszkody. U nas wiosna lubi przyjść wcześnie, pobudzić je do życia, a potem – jak nie sypnie śniegiem, jak nie zaskoczy mrozem... Syberyjskiemu drzewu może więc być u nas trudniej przeżyć niż w ojczyźnie. To przykład, jakie trudności napotykają ci, którzy zajmują się wprowadzaniem obcych drzew..

Po co nam ci przybysze?

Badania wskazują, że kiedyś, jeszcze w trzeciorzędzie na naszych ziemiach rosło znacznie więcej gatunków drzew iglastych. Liściastych też. Do naszej flory należały np. słynne, gigantyczne sekwoje, dziś rosnące tylko na kontynencie północno-amerykańskim. Temu bogactwu drzew kres położyły kolejne zlodowacenia. Po ustąpieniu lodów drzewa mogłyby się stopniowo znów rozprzestrzenić z południa, ale barierą nie do pokonania okazał się łańcuch Karpat. Niektóre – jak np. jodła – przeniknęły wprawdzie przez Bramę Morawską – ale w sumie skład gatunkowy naszych lasów do dziś pozostał uboższy niż przed epoką lodowców. Zresztą – z czasem zubożyliśmy go sami.

Inaczej było w Ameryce Północnej, gdzie łańcuchy górskie biegną z północy na południe. Tam, po ustąpieniu lodów, drzewa znów mogły się swobodnie rozprzestrzeniać na północ, nie napotykając tej górskiej przeszkody. Dlatego tam flora drzewiasta jest bogatsza. Korzystają z tego leśnicy wielu krajów. Np. leśnictwo Anglii opiera się głównie na drzewach sprowadzonych z Ameryki.

Na naszych ziemiach próby osiedlenia obcych drzew rozpoczęli w XVIII w. Niemcy na terenie zaboru pruskiego. Próby nie zawsze udane. Zwłaszcza że lubowali się w monokulturach, sadząc produktywne drzewa jednego gatunku – byle szybciej było dużo drewna. Skutek – zubożenie siedlisk, pojawienie się klęsk szkodników.

Dziś zaczynamy rozumieć, że monokultury nie zbawią leśnictwa. Nawet z czysto produkcyjnych względów las wielogatunkowy jest najlepszy. Ideałem byłoby wzbogacenie go o drzewa szybko rosnące, dające dużo drewna. Wiele obcych gatunków spełnia ten warunek. Trzeba jednak najpierw zbadać, czy się u nas przyjmą...

Daglezja – faworytem

Mając to na uwadze, rogowski zakład rozpoczął próby z 90 gatunkami drzew. Trzeba było bardzo starannie dobierać ich nasiona. Drzewo danego gatunku zajmuje w swej ojczyźnie spory obszar, zróżnicowany klimatycznie. My musimy zdobyć nasiona pochodzące z takich miejsc tego obszaru, gdzie warunki są możliwie zbliżone do naszych. Dlatego pracownicy zakładu wnikliwie studiują dane ze stacji meteorologicznych dalekich krajów, prenumerują specjalne dendrologiczne** biuletyny. Sprowadzone nasiona wysiewa się, a otrzymane z nich sadzonki sadzi na doświadczalnym poletku na powierzchni 15–35 arów. Każde drzewko ma swój numer, każde się stale mierzy i wciąż się go dogląda, zapisując jego historię. Drzewa rosną wolno i trzeba się liczyć z tym, że rozpoczęty eksperyment będą dokańczać inni. Należy im pozostawić jak najbogatsze dane.

Pierwszy, pilotażowy eksperyment z kilkudziesięcioma gatunkami drzew trwa ok. 20 lat. Dopiero gdy drzewka przeżyją ze dwie – trzy „zimy dziesięciolecia" i inne kaprysy klimatu, można rzec coś o ich przyszłości u nas. Najczęściej najważniejszym dla drzewa egzaminem jest ta pierwsza, ostra zima. Ale dr Tumiłowicz mówi, że dopiero jak przeżyją ze dwie zimy z mrozem poniżej 35 stopni – będzie mógł być pewny swych wyników.

Jak dotąd faworytem jest daglezja. Żywotna, odporna, zdrowa, rośnie szybko, osiągając nawet 100 m wzrostu i parę metrów średnicy. W USA i Kanadzie jest najważniejszym drzewem dla leśnictwa. A i choinki z niej są ładne, trwałe i pachące. Że mają i u nas przyszłość, świadczy choćby i to, że mieszkańcy okolic Rogowa rzucili się na ten daglezjowy towar, sprzedawany przez tutejszy zakład. Obiecująca jest jodła olbrzymia, jak i inne gatunki jodeł, pochodzące z Ameryki, Japonii, Kaukazu, Azji Wschodniej. To samo można rzec o wielu świerkach – np. tym sitkajskim, kłującym.

W lasach państwowych są już pierwsze hektary tych dobrze zapowiadających się drzew. Prawie wszystkie one mogą dostaryczć choinek, a przynajmniej stroiszu. Nawet gospodarczo jest to niebagatelna sprawa. W wielu krajach – np. w NRD – przekonano się że często więcej można zarobić na choinkach i gałązkach luzem niż na sprzedaży drewna...

Czy obce zagłuszy swojskie?

Wprowadzanie obcych danemu krajowi gatunków flory i fauny budzi u wielu przyrodników dreszcz grozy. Bywało już wszakże, że obcy gatunek tak się rozpanoszył, że zagroził miejscowym, często cennym, a nieraz doprowadzał do ekologicznej katastrofy. Na szczęście drzewa są dość bezpiecznymi przybyszami – nie są tak ekspansywne, jak niektóre inne rośliny, a już zwłaszcza zwierzęta. Wolno rosną i wolno się rozmnażają, a poza tym – bardziej niż inne organizmy pozostają pod naszą kontrolą. – Zresztą – mówi dr Tumiłowicz – wiele świadczy o tym, że polskie leśnictwo nadal będzie się opierać na rodzimych gatunkach. Nasze badania wskazują, że wprowadzanie obcych drzew to u nas zabieg na granicy opłacalności. Chcemy robić to tam, gdzie lasy są uboższe, niż mogłyby być. Tak jest np. w północno-zachodniej Polsce. Siedliska są tam dogodne dla wielogatunkowych lasów. Niestety, tych lasów nie możemy wzbogacić wieloma polskimi drzewami, bo w tutejszym morskim klimacie źle rosną.

Warto się więc rozejrzeć za obcymi, lubiącymi taki klimat gatunkami. Ale gdzie indziej – a już zwłaszcza w rezerwatach i parkach narodowych – nie trzeba ich wprowadzać. Warto bowiem pamiętać, że na większości obszaru Polski i tak już panuje flora obcego pochodzenia. Przecież pola, ogrody, sady – to dziś jakby „ogrody botaniczne", gdzie rosną rośliny sprowadzone skądś w przeszłości dla celów użytkowych. Jedynymi zbiorowiskami roślinnymi w których panują gatunki rodzime, są u nas lasy. One powinny pozostać ich ostoją. I zapewne pozostaną...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

---

* **Arboretum** – rodzaj ogrodu botanicznego, w którym hoduje się i eksponuje drzewa i krzewy.
** **Dendrologia** – nauka o drzewach.

Daglezja zielona, czyli jedlica

Żywotnik olbrzymi

Świerk kaukaski o bardzo drobnych igłach

Śladami „Lwa Lechistanu" (7)

Wieloryb na talerzu

Wchodzę pospiesznie schodami poselskimi, by dopaść komnat na drugim piętrze wawelskiego zamku, w których rozparła się gigantyczna, jubileuszowa wystawa pn.. „Odsiecz Wiedeńska 1683" zorganizowana rzez Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu i Muzeum Narodowe w Krakowie. Ma kilka tygodni, ale sławę ogromną. To trzeba zobaczyć -- mówi każdy, kto ją widział. To trzeba opisać.

Opisać. Ba, ale jak! Będzie to próba podania wieloryba na talerzyku deserowym.

Stoję w pierwszej sali wystawowej i stwierdzam, że każdy obejrzany obraz, każdy dokument, każdy przedmiot ustawia skłębione w głowie daty w logiczny ciąg wydarzeń. Historia podręcznikowa bywa nudna, sucha, bezbarwna. Przypomina czasem książkę telefoniczną – spis nazwisk i cyfr. A ta tutaj... Mówią o tym samym, ale jakże inaczej.

W pierwszej komnacie, Sali pod Zodiakiem zgromadzone eksponaty pokazują i tłumaczą, jak to było z ekspansją Islamu w Europie. Nasze polskie kłopoty z Turczynem nie wzięły się przecież nagle ni stąd, ni z owąd. Poprzedzał je długi ciąg wydarzeń. Przypominamy więc sobie bitwę pod Warną, zdobycie Konstantynopola, podboje Półwyspu Bałkańskiego, pierwsze oblężenie Wiednia przez sułtana Sulejmana, walki na morzu ze świetnym zwycięstwem pod Lepanto. Przypominamy sobie... ale czasem aż coś kłuje, że nie wszystko tak zostało zapisane w pamięci, że niektóre wydarzenia zapamiętaliśmy jako klęski, a tu na barwnych obrazach dźwięczą zwycięstwem. Ano nic dziwnego, malowane były po drugiej stronie barykady. Trzy obrazy Stanisława Chlebowskiego, zwanego ponoć „Matejką domu sułtańskiego", emigranta, pracującego na zlecenie sułtana Abdulazisa w drugiej połowie XIX w., stanowią element, jakbyśmy to dziś określili, propagandy sukcesu. Tureckiego oczywiście.

Pośród malowideł biała wstęga pergaminu spływa z wysoka do podłogi. Zdobi ją złoty ornament gdzieś w górze. Zadrzeć trzeba głowę, żeby go dojrzeć, bo pas pergaminu ma ze cztery metry. Pokrywają go gęsto równiutkie wygibiaste znaczki czarne, a tu i ówdzie złote. Czyta człowiek tabliczkę z objaśnieniem, że to... oryginał traktatu pokojowego Sulejmana I z Zygmuntem I, zawartego w 1525 r. Oczywiście ten dekoracyjny dokument spisano w języku tureckim. Podobnie wygląda akt przymierza Murata II z Batorym z 1571 r, – słynny traktat buczacki z 1672 r, który zobowiązywał Polskę do płacenia haraczu i odebrał nam Kamieniec. Przy kolejnym dokumencie jego oryginalna forma powszednieje. List Roksolany, małżonki Sulejmana Wspaniałego do Zygmunta Augusta traktuję już tak, jakby wielometrowy zrolowany papier listowy można było kupować w kioskach Ruchu.

Następna sala opowiada – tak właśnie, opowiada – o zbrojnych konfliktach polsko-tureckich od Cecory (1620) do Żórawna (1676). Ale po drodze między nimi jest jeszcze Chocim (1673) i od tego momentu pomiędzy inne postacie, jakie przedstawia wystawa, wkracza Jan Sobieski. Im dalej zagłębiamy się w wawelskie komnaty, tym więcej w nich obecności hetmana Sobieskiego, potem króla Sobieskiego i jego rodziny. Ale jeszcze nie teraz, nie w tym miejscu. Tu przyciągają uwagę pamiątki, więcej, relikwie po hetmanie Żółkiewskim, pradziadku po kądzieli króla Jana.

Dalej pamiątki spod Chocimia, portret Chodkiewicza miecz Sahajdacznego, wspomniany już traktat buczacki... Nie wymienię wszystkiego. Nie da rady. Zresztą nie o to chodzi, żeby sporządzić tu rejestr eksponatów.

W oddzielnej sali zgromadzono wiele pamiątek dotyczących samej osoby króla Jana i jego najbliższych: portrety, tkaniny, broń, dokumenty, różaniec jaspisowy, łańcuszek do ładownicy wyjęty z królewskiej trumny, jakieś książki z dedykacjami – okruszki prywatnego życia. Jest w nich ciepło. Tu nie myśli się o historii, myśli się o człowieku, który używał tych przedmiotów, lubił je, brał w ręce... Pośród dokumentów diariusze Jakuba, królewskiego syna. Ten sławny, z bitwy wiedeńskiej i jakiś inny jeszcze, będący dziennikiem wyprawy wołoskiej z 1686 r. i kamienieckiej z 1687 r., zawierający także zapiski z podróży rodzinnej do Jaworowa, Żółkwi, Lwowa i Olecka z 1684 r. Gruby zeszyt jest otwarty, karty w nim pożółkłe, pismo jakieś zbrązowiałe. Próbuję przeczytać to, co królewicz przed trzystu laty napisał, pochylam się nad gablotą z namaszczeniem i... spada ze mnie cała powaga. Fanfanik, tak Jakuba ponoć nazywali rodzice w zaciszu domowym, bazgrał. Poczułam do niego sympatię. To co dziś jest historią, kiedyś było życiem. Ciekawe, czy karano Jakuba za skłonność do gryzmolenia. Król Jan za to pisał wyraźnie, czytelnie i zamaszyście, co można sprawdzić w jego zeszycie szkolnym. List do Marysieńki donoszący o wiedeńskiej victorii można sobie obejrzeć na Wawelu.

Ale wróćmy do historii. Kolejne wnętrze poświęcone jest obrazowi sytuacji politycznej Europy przed wybuchem wojny w 1683 r., Zgromadzono tu portrety Ludwika XIV, cesarza Leopolda, papieży, wizerunki wybitnych polityków.

I wreszcie docieramy pod Wiedeń. Przebieg kampanii, oblężenie miasta, bitwa. I jej konsekwencje w postaci kolejnych starć z Turkami, znajdujące swój finał w pokoju karłowickim. O tym pisać nie będę, bo nie po to prezentowaliśmy w „ŚM" długi serial o „Lwie Lechistanu", żeby tu na paru szpaltach stłoczyć byle jak taką masę informacji. Ale o trofeach wiedeńskich nie wspomnieć się nie da. Zajmują całą Salę Senatorską. Tureckie chorągwie, buńczuki, pamiątki po Kara Mustafie ze słynnym strzemieniem, zbroja Jana III wypożyczona z muzeum w Dreźnie, zbroje, buławy i szable głównych bohaterów strony polskiej. Pełno tu wspaniałych tkanin, kobierców, dywanów, makat. Ceremonialny namiot wezyrski, przed nim wezyrskie buńczuki, broń turecka, wspaniałe siodła i rzędy. I pośród tego wszystkiego... jeden damski trzewik chiński.

Ten trzewik jest wzruszającym dowodem na to, z jak ogromną skrupulatnością ściągano na wawelską wystawę wszystko, co wiązało się z tą polsko-turecką sprawą. Żadnych kopii, żadnych współczesnych uzupełnień. Cóż to była za gigantyczna praca szperacza! Najlepiej o tym wiedzą profesorowie Zdzisław Żygulski i Jerzy Szablowski – komisarze wystawy i autorzy tej koncepcji – a także ci wszyscy, którzy tę koncepcję realizowali. Eksponaty z muzeów krajowych, różnych muzeów europejskich, muzeów diecezjalnych, archiwów akt dawnych, a także z kościołów parafialnych z jakichś prawie nikomu nie znanych miejscowości i wreszcie ze zbiorów prywatnych. Wszystko to ściągnięto, by mogło świadczyć, że TAK BYŁO. Są tu dzieła o wysokiej wartości artystycznej i niższego lotu – znalazło się miejsce na każde, które daje świadectwo tamtych lat.

Już ostatnie sale – namioty zdobyczne w amfiladzie, jeden za drugim. Jeśli namiot szczelnie wypełnia komnatę królewskiego zamku, to nie jest malutki. Ich barwne ornamenty roślinne, jakże kunsztowne. Jakieś dziewczyny poszeptują, że z tego byłaby wspaniała kreacja. Jakoś nie wzburza mnie ta świętokradcza chętka. W poprzedniej sali wisiały przecież ornaty szyte ze zdobycznych tureckich tkanin. Podchodzę do ściany namiotu, żeby zobaczyć z bliska, jak to jest malowane czy tkane. Ani jedno, ani drugie. To aplikacje! Kolorowe łatki naszywane pracowicie na namiotowe płótno, często piętrami, jedne na drugie. Widać każdy ścieg. Cofam się, patrzę z daleka: taka ogromna płaszczyzna pokryta misternym deseniem. Ile rąk, jak długo musiało pracować nad tym?

No i koniec. Już wyjście. Już? Trzy godziny w samym środku historii zbiegło jak z bicha strzelił. A w tych trzech godzinch półtora wieku...

Wystawa jest czynna do końca roku. Jeśli komuś z Was w przyświątecznym okresie zdarzy się podróż w okolice Krakowa, to niech koniecznie pociągnie na wawelskie wzgórze.

EWA DROBNIK

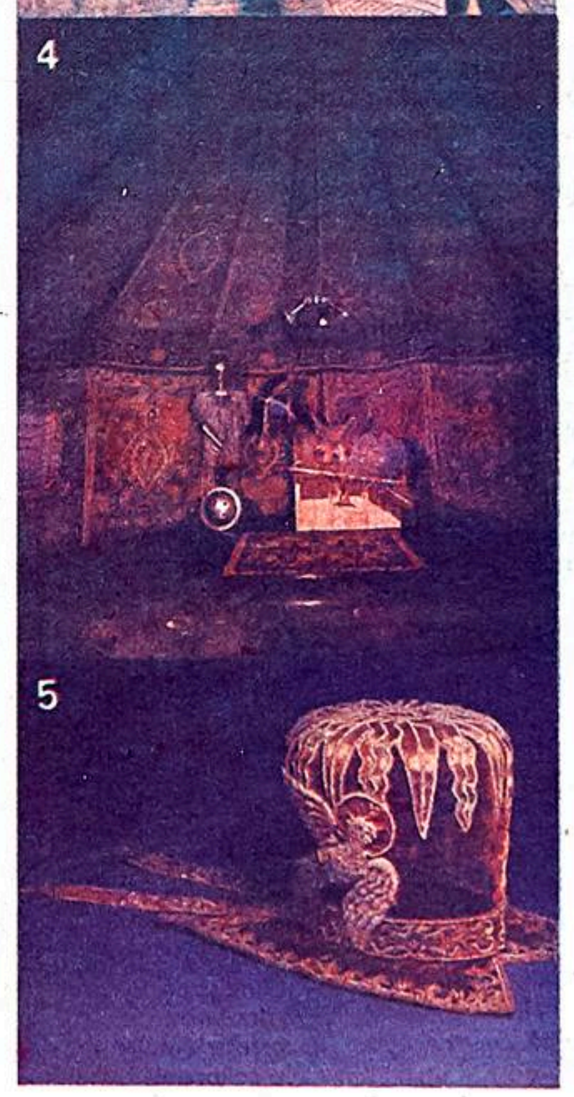

1. ***Strzemię Kara Mustafy, to, które razem z wiadomością o zwycięstwie posłał król Marysieńce na Wawel (Skarbiec Katedry Wawelskiej)***
2. ***Łuk, kołczan i sajdak (Turcja XVII w.) ze zbiorów Klasztoru Ojców Paulinów na Jasnej Górze.***
3. ***Siodło i rząd na konia po Mikołaju Hieronimie Sieniawskim (Turcja XVII w.) Ze zbiorów Czartoryskich Muzeum Narodowego w Krakowie***
4. ***Wnętrze namiotu centralnegò (Turcja w XVII). Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu***
5. ***Kapelusz poświęcony, wyszywany perłami – dar papieża Innocentego XI dla Jana III***

Czy grać będziemy tylko na grzebieniu?

WARSZAWA (Inf.wł.) Sklep muzyczny przy Pl. Konstytucji. Na dole płyty, na pięterku instrumenty i akcesoria: ustniki, stroiki, przystawki itp... Na co dzień świeci pustkami, ale mniej więcej co trzeci dzień, kiedy na schodach pojawia się zagradzający drogę sznurek z kartką: „Przyjęcie towaru", pod sklepem ustawia się długa kolejka. Na pół godziny przed otwarciem zbliża się do niej miła panienka i uprzejmie zawiadamia: – *Jeśli czekacie państwo na gitary, to nie będzie ich w sprzedaży. Otrzymaliśmy tylko pięć i to na uprzednie zamówienia szkół muzycznych.* – Połowa ludzi z kolejki, szemrząc coś pod nosem, odchodzi zrezygnowana.

KRÓTKA SONDA: **Kazik i Marek** (mniej więcej po 15 lat) – *Chcemy przy gitarze śpiewać poezję. Przychodzimy tu od trzech miesięcy, jeśli pozwala nam czas, codziennie.*

Starszy Pan – *Obiecałem Marcinowi, 12-letniemu wnukowi, gitarę na imieniny. Gra już trochę i chyba warto, żeby mógł się uczyć dalej. Prezentu na razie nie dostał. Boję się, że przejdzie mu zapał, jak tak dalej pójdzie...*

Artur – 20 lat (student medycyny) – *Nie wyobrażam sobie życia bez gitary. Nie musi być wspaniała, ot, taka, żeby sobie akompaniować. Pech chciał, że mój dotychczasowy instrument upadł nieszczęśliwie i nie da się już posklejać. Jak w tym tygodniu nie uda mi się tu nic kupić, pójdę na „perski"...*

Pan ekspedient cierpliwie tłumaczy: – *Gitary do indywidualnej sprzedaży bywają mniej więcej raz w miesiącu, ale zaledwie po kilka sztuk. Trzeba pilnować...*

Tak jest i gdzie indziej. Niewesoło. Ale problemy amatorów przygasają wobec kłopotów, jakie przeżywać musi profesjonalista. Żeby np. kupić fortepian, trzeba złożyć zamówienie i potem czekać... 30 lat.

Instrumenty muzyczne w naszym kraju produkuje 7 zakładów. Są one zaledwie średniej jakości i mają służyć właśnie amatorom i szkolnictwu muzycznemu. Nie ma mowy, jak na razie, o produkcji instrumentów najwyższej klasy niezbędnych dla solistów i orkiestr symfonicznych. Na wysokim światowym poziomie stoi jedynie lutnictwo.

Dlaczego? Ano, zakłady przemysłu muzycznego od wielu już lat nie były modernizowane i rozbudowywane. Ciasnota i stan techniczny sprzętu koniecznego do ich wytwarzania grozi wręcz w każdej chwili wstrzymaniem produkcji. Mało też jest specjalistów w tej dziedzinie, jakoś kuleje ich edukacja. Ogromne trudności stwarza także rytmiczne zaopatrywanie zakładów produkcyjnych w niezbędne, wysokiej jakości surowce.

Bez dostępu do przyzwoitych instrumentów nie ma mowy o upowszechnianiu i podnoszeniu kultury muzycznej. To jasne... Dlatego sejmowa Komisja Kultury i Sztuki, na alarm odtrąbiony niestety na grzebieniu przez amatorów i środowiska muzyczne, zareagowała zarządzając sporządzenie raportu o stanie przemysłu muzycznego w naszym kraju. Ale to dopiero pierwszy kroczek na drodze ku lepszemu.

(eb)

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

SIMSONS 70 C

SIMSONY S 51 (te z silnikami o pojemności do 50 cm sześc), traktowane są przez wytwórnię – Kombinat Pojazdów Jednośladowych IFA mieszczącą się w miejscowości Shul w NRD – jako motorowery. W naszym kraju zwłaszcza modele z podwyższoną mocą próbuje się zaliczać już do motocykli. Cieszą się one wśród krajowych nabywców niebywałą popularnością. Warto wiedzieć, że do niedawna były one sprowadzane indywidualnie przez naszych rodaków zatrudnionych na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W roku bieżącym sprowadziliśmy na nasz rynek pewną partię SIMSONÓW w wersji, która pozwala zaliczyć je do motorowerów, a więc o zmniejszonej mocy i przez to ograniczonej prędkości do 40 km/h – bo takie jest u nas kryterium zaliczania jednośladów do grupy motorowerów. W związku z importem tych pojazdów wielu z Was zwraca się do mnie o podanie warunków ich sprzedaży. O ile mi wiadomo sprzedażą ich zajmują się placówki Polmozbytu, z tym, że zapotrzebowanie na nie jest bardzo duże i w związku z tym nie ma ich ciągle „na składzie", gdyż z chwilą dostarczenia do punktu sprzedaży znajdują od razu nabywców. Powodem tego jest między innymi ich cena wynosząca w przybliżeniu 50. 000 zł (występują wahania wokół tej ceny związane z różnymi wersjami), ponieważ na tzw. „czarnym rynku" osiągają one cenę w granicach 100.000 zł.

W roku bieżącym wytwórnia w Shul wprowadziła na rynek SIMSONA oznaczonego symbolem S 70 C. Jest to już motocykl powstały na bazie SIMSONA S 51, w którym podwyższono pojemność silnika do 69,9 cm sześc., poprzez zwiększenie średnicy cylindra z 38 do 45 mm. Silnik ten o dwusuwowym cyklu pracy rozwija moc 4,1 kW przy 6000 obr/min i stopniu sprężenia 10,5. Zasilanie jego w mieszankę odbywa się za pośrednictwem gaźnika typu BVF 16 N1-11, zapłon jest bezstykowy – tranzystorowy. Jest on do rurowej ramy motocykla przymocowany w pozycji wiszącej. Przekazywanie napędu na tylne koło odbywa się za pośrednictwem wielotarczowego sprzęgła pracującego w kąpieli olejowej, czteroprzekładniowej skrzyni biegów i łańcucha. Silnik SIMSONA S 70 wykończony jest w modnym czarnym kolorze.

Koło przednie zawieszone jest na widelcu teleskopowym, tylne na wahaczu resorowanym sprężynami śrubowymi, we wnętrzu których są amortyzatory teleskopowe. Ogumienie przednie i tylne ma rozmiar 2,75 × 16 R. Hamulce przy obydwu kołach są typu bębnowego.

Nad lampą świateł przednich znajdują się dwa okrągłe wskaźniki – prędkościomierz ze światełkami kontrolnymi oraz obrotomierz. Wymiary motocykla są następujące: dł. 1890 mm, szer. 880 mm, wys. 1195 mm. Ciężar wynosi 83,5 kg.

Do seryjnego wyposażenia należą kierunkowskazy, lusterka wsteczne umieszczone po obydwu stronach kierownicy, światło „stop" i składany bagażnik rurowy, zlokalizowany tuż za kanapowym dwuosobowym siedzeniem.

Prędkość maksymalna SIMSONA S 70 C przy jeździe solo wynosi 75 km/h, przy jeździe z 2 osobami 72 km/h. Średnie zużycie paliwa wynosi 2,6 l/100 km.

Istnieje jeszcze wersja terenowa tego motocykla oznaczona symbolem S 70 E-ENDURO. **ZENON DUTKIEWICZ**

Temat miesiąca

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Życzę Wam w nowym ornitologicznym roku, byście spotkali w terenie nie znane Wam jeszcze gatunki ptaków, zwłaszcza tych rzadkich, mniej znanych, a wiosną odszukali jak najwięcej trudnych do znalezienia gniazd. No i, oczywiście, nie zapomnieli o tym do nas napisać. By poszerzyły się Wasze kontakty z innymi obserwatorami, by rozwinęła się między Wami współpraca. Np. taka, jaka istnieje między **Jackiem Gaikiem z Brwinowa** i **Piotrem Klukiewiczem z Giżycka,** których wspólnym celem stało się pilne śledzenie zagrożeń przyrody w ich ptasich uroczyskach i wymiana doświadczeń na ten temat. Życzę też udanej współpracy z ośrodkami ornitologicznymi, jaka dla wielu z Was właśnie w mijającym roku się zaczęła. Zarówno Wam, jak i... ptakom życzę też, by powstały nowe, liczne miejsca dokarmiania a dawne były dobrze zaopatrywane. I żeby wyrosły nowe „ptasie osiedla mieszkaniowe", jakich już i teraz nie brakuje. Żebyście byli czujnymi obserwatorami zmian, zwłaszcza niekorzystnych, jakie zachodzą na penetrowanych przez Was terenach i byście nam te zmiany sygnalizowali – jak to uczynili ostatnio np. **Marcin Jachowski i Piotr Kiszka z Warszawy,** laureaci konkursu „Moje Ptasie Uroczysko".

Wreszcie – życzę Wam po prostu wielu ciekawych spostrzeżeń z życia ptaków. Za przykład niech posłuży choćby to, jakie opisał **Cezary Kabała z Tomaszowa Mazowieckiego**, nasz dobrze się zapowiadający, nowy korespondent:

„...Zobaczyłem coś, co mnie bardzo zdziwiło. Nieprzebrane ilości szpaków, „okupujących" kilka starych, wielkich olch. Nie siedziały sobie spokojnie, ale głośno, przeraźliwie „ćwierkały" – słychać to było na pół kilometra. Oraz... brały kąpiel. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale ta kąpiel była niezwykła. Istny ceremoniał!

Szpaki brały kąpiel w dwóch grupach. Na każdym z czterech drzew były ich dwie grupy. Najpierw przylatywała do wody pierwsza grupa z każdego drzewa równocześnie. Popluskała się trochę i jak na rozkaz „wyskoczyła" z wody. Dzieliła się wtedy na dwie grupki; jedna odlatywała na drzewo skrajne z prawej, druga na drzewo z lewej strony. Wtedy dopiero szpaki, które do tej pory były na drzewach, leciały do wody. W międzyczasie ta grupa, która już w wodzie była, rozlatywała się na wszystkie cztery drzewa i czekała, aż znów na nią przyjdzie kolej. A tymczasem szpaki akurat kąpiące się, jak na komendę wylatywały z wody i frunęły, znów w dwóch grupach, na skrajne drzewa. Ten ceremoniał każda grupa powtórzyła 12 razy. Po czym, kiedy wszystkie szpaki były już na drzewach, jak na rozkaz wszystkie co do jednego wzbiły się w powietrze. Takich chmar ptactwa jeszcze nie widziałem. Ich „kwilenie" było wtedy wprost nie do wytrzymania. Na niebie zrobiło się ciemno, tyle ich było. Wszystkie poleciały potem na wschód, nad polami, w kierunku dzielnicy Białobrzegi. Działo się to w Tomaszowie Mazowieckim, na prawym brzegu Pilicy, 12 września 1983 r.

Muszę dodać, że strumyk, w którym ptaki się pluskały, jest bardzo leniwy i płytki, ma zaledwie 8–10 cm głębokości i nie opodal wpada do Pilicy. Jednak wody w sobie ma sporo, bo kiedy szpaki się w nim pluskały, a trwało to średnio 15–20 sek., woda tak wysoko bryzgała, że aż się dziwiłem – ponad 1 metr..."

Ptaki spotykamy codziennie, nie ma takich okolic, gdzie by ich stale nie było. Ale nie co dzień zdarza się nam zauważenie jakiegoś ciekawego ceremoniału z ich życia. Dlatego takich spostrzeżeń najbardziej Wam życzę.

Te wszystkie życzenia – a zwłaszcza dwa ostatnie – spełniły się w jakiejś mierze już w mijającym, 1983 roku. Więcej po prostu, niż przedtem, dostaliśmy wiadomości o ciekawych zachowaniach skrzydlatych mieszkańców i gości naszego kraju, byli wręcz obserwatorzy, którzy się w czynieniu takich spostrzeżeń specjalizowali – np. **Sławomir Dzietczyk z Lipska czy Wojciech Gotkiewicz,** mieszkający w okolicach **Grajewa.** Więcej niż dawniej było też spostrzeżeń dotyczących stanu ptasich środowisk. Oby tak dalej – tego jeszcze raz Wam życzę!

Zaś sobie – worków pełnych korespondencji!

ZADANIA NA STYCZEŃ

1. Może niektórym wyda się dziwne, że o tej porze roku zachęcamy do wypadu nad rzekę czy inny zbiornik wodny. A jednak... Proponujemy obserwacje i liczenie zimujących ptaków wodnych. Wybierzcie nad rzeką, która całkiem nie zamarzła, dość długi (np. 1 km) odcinek brzegu, zapewniający widoczność koryta rzeki i co jakiś czas (kilka – kilkanaście dni) odbądźcie wędrówkę tym szlakiem, zapisując na bieżąco spotykane gatunki i notując liczebność. Takie liczenia można i warto przeprowadzić nad innymi zbiornikami wód, a także na wybrzeżu morza. Zadanie jest aktualne do wiosny i ma charakter szkoleniowy. Komu będą dobrze szły te obserwacje, będzie mógł z powodzeniem wziąć udział w ogólnopolskiej akcji liczenia ptaków wodnych, jaka od pewnego czasu się rozwija.

2. Zbliżają się ferie, wielu z Was wyruszy wtedy w góry. Zachęcamy do zwrócenia wtedy uwagi na górską awifaunę. Wiele ptaków schodzi zimą na teren podgórskich osiedli – np. rzadki i piękny pomurnik pojawia się na dachach i ścianach budynków. Prosimy zatem o ornitologiczne relacje z gór. W tym roku otrzymaliśmy tylko jedną.

3. Dokarmiajcie, gdzie się tylko da, ptaki wodne. Można urządzić dla nich nad wodą karmnik w postaci daszka wspartego na czterech wbitych w ziemię słupkach, na wysokości ok. 60 cm nad ziemią. Sypie się do niego otręby, śrutę, gotowane, niesolone ziemniaki, kawałki kapusty i buraków pastewnych. Gotowane ziemniaki można zmieszać z gniecionymi żołędziami i kasztanami. Można też urządzić karmnik w postaci pływającej, zakotwiczonej tratewki, ulokowanej w przerębli (utrudnia to dostęp drapieżnikom). **(tok)**

Fot. **T. Kłosowski**

Pomagamy ptakom

Z wywieszonej dla sikor słoniny nie tylko one korzystają. Dobiera się też do niej chętnie wiele różnych zwierząt, likwidując szybko tę ptasią stołówkę. Jedyny sposób, by temu zaradzić – to wieszać skórkę od słoniny (czy też karmnik-dzwonek) na cienkiej gałęzi i na dość długim sznurku

Fot. **T. Kłosowski**

Piotr Cofałka. Wspólna 26, 42-610 Tarnowskie Góry, zbudował 2 skrzynki lęgowe dla szpaków i 2 dla sikor. Teraz w tych skrzynkach nocują sikory. Te ostatnie korespondent dokarmia przy pomocy trzech karmników-wieszadełek. Wcześniej uratował 2 ranne jerzyki.

Sławomir Dzietczyk, Nowy Lipsk, 16-315 Lipsk rozpoczął dokarmianie, wysypując nasiona słonecznika dla sikor. Przygotował się też do dokarmiania kuropatw.

Piotr Klukiewicz, Mickiewicza 14/5, 11-500 Giżycko, przygotował karmnik okienny, a ubiegłej zimy dokarmiał łabędzie.

Artur Śliczniak, Szpitalna 6/10 m. 17, 26-600 Radom, także uruchomił karmnik.

Nowi członkowie klubu

Robert Albertusiak Krupnicza 12/34, 33-100 Tarnów, **Wojciech Dębski,** Łękawica 7, 05-332 Siennica, woj. siedleckie, **Witold Gedymin,** Michałowice, Spacerowa 26, 05-815 Opacz, woj. warszawskie, **Roman Górski,** Zopowy 24, 48-145 Zubrzyce, woj. opolskie, **Marcin Jurdziński,** Lutynia 14, 63-330 Dobrzyca, woj. kaliskie, **Cezary Kabała,** Majowa 84, 97-200 Tomaszów Maz., **Zdzisław Ludorowski,** Krakowska 3, 48-120 Baborów, **Piotr Olszewski,** Pakoska 24/22, 88-190 Barcin.

WYNALAZŁ KIEDYŚ RADAR

(PAP). W Londynie zmarł niedawno w wieku 78 lat brytyjski naukowiec, John Mathieson Dodds. Wsławił się on opracowaniem systemu obrony radarowej, uprzedzającego mieszkańców Wysp Brytyjskich przed nalotami niemieckiego lotnictwa podczas ostatniej wojny. W dużym stopniu dzięki temu wynalazkowi 4-miesięczna tzw. bitwa o Anglię zakończyła się klęską hitlerowskiej Luftwaffe.

Po wojnie Dodds stał na czele zespołu konstruktorów, który opracował aparaturę radarową dla potrzeb marynarki handlowej oraz urządzenia medyczne wykorzystujące w swoim działaniu zjawisko promieniowania cząsteczek (tzw. akceleratory). **(kl)**

Cztery pokolenia myśliwych

GROŹNE SPOTKANIE

Mieszkaniec Dalekiego Wschodu Mikołaj Antonow złapał już swojego trzydziestego leoparda, którego jak zwykle odesłano do ogrodu zoologicznego. Pierwszego leoparda schwytał ponad ćwierć wieku temu. Najtrudniejsze było spotkanie z ostatnim. Myśliwy był na tropie zwierza już po trzech dniach poszukiwań. Trafił na jego ślad pod wielką skałą. Leopard schował się za ogromnym głazem, skąd nieoczekiwanie skoczył na człowieka. Łowca wraz z leopardem potoczyli się w dół. Z pomocą przyszły psy myśliwskie, które odegnały zwierzę. Dopiero zimą, po przeszło pół roku, łowca ponownie trafił na ślad leoparda i tym razem udało mu się go pochwycić. Po raz pierwszy wziął wtedy ze sobą na łowy swego syna – Wiktora. Wiktor jest przedstawicielem czwartego pokolenia Antonowów, którzy od dawien dawna trudnili się polowaniem. **(kl)**

PCHŁA NAJLEPSZA, MRÓWKA NAJSILNIEJSZA – DZIWY PRZYRODY

(PAP). Nowoczesna aparatura pozwala obecnie nie tylko mierzyć na zawodach sportowych szybkość zawodników z dokładnością do tysięcznej sekundy, ale umożliwiła również dokładniejsze ustalenie rekordzistów w różnych dziedzinach wśród innych mieszkańców naszej planety.

Jeśli chodzi o skok w dal, to rekordzistką jest czarnoplamista antylopa, która w razie potrzeby skacze na odległość 12 metrów. Na drugim miejscu znajduje się kangur australijski, który może skakać na odległość 9 m.

Są to oczywiście rekordy absolutne, gdyż równocześnie notuje się rekordy w zależności od wagi ciała, jak wśród ludzi, np. w podnoszeniu ciężarów. Tu sytuacja wygląda zupełnie inaczej, jeśli tylko wspomnieć, że nieosiągalną rekordzistką w skoku wzwyż jest na świecie zwykła pchła, mrówka – największym siłaczem, a pszczoła powietrznym transportowcem „nie do zdarcia" **(kl)**

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Całą paczką przychodzimy do Was z kolędami i szopką, jak widać na załączonym obok obrazku! Życzymy Wam wszystkiego najlepszego, a najbardziej – dobrego nastroju podczas Świąt.

Ponieważ dobry nastrój, a także dobre samopoczucie zależy przeważnie od nas samych – wystrzegajmy się choćby przez te dni: dąsów, much w nosie, złości i złośliwości, zdenerwowania, chandry itp. Rysunek po prawej ilustruje najlepiej jak wytworzyć dobry nastrój.

Wesołych Świąt!
Wasz Rzep

– Święta idą, panie gajowy, to i choinka musi być...

RZEPKLUB

Zapisuję do klubu Marzenę Jakubowską i Magdę Radomską, które wyszperały zamieszczone poniżej żarty rysunkowe.

— Czy teraz uwierzyłeś, że ten lew jest wypchany?

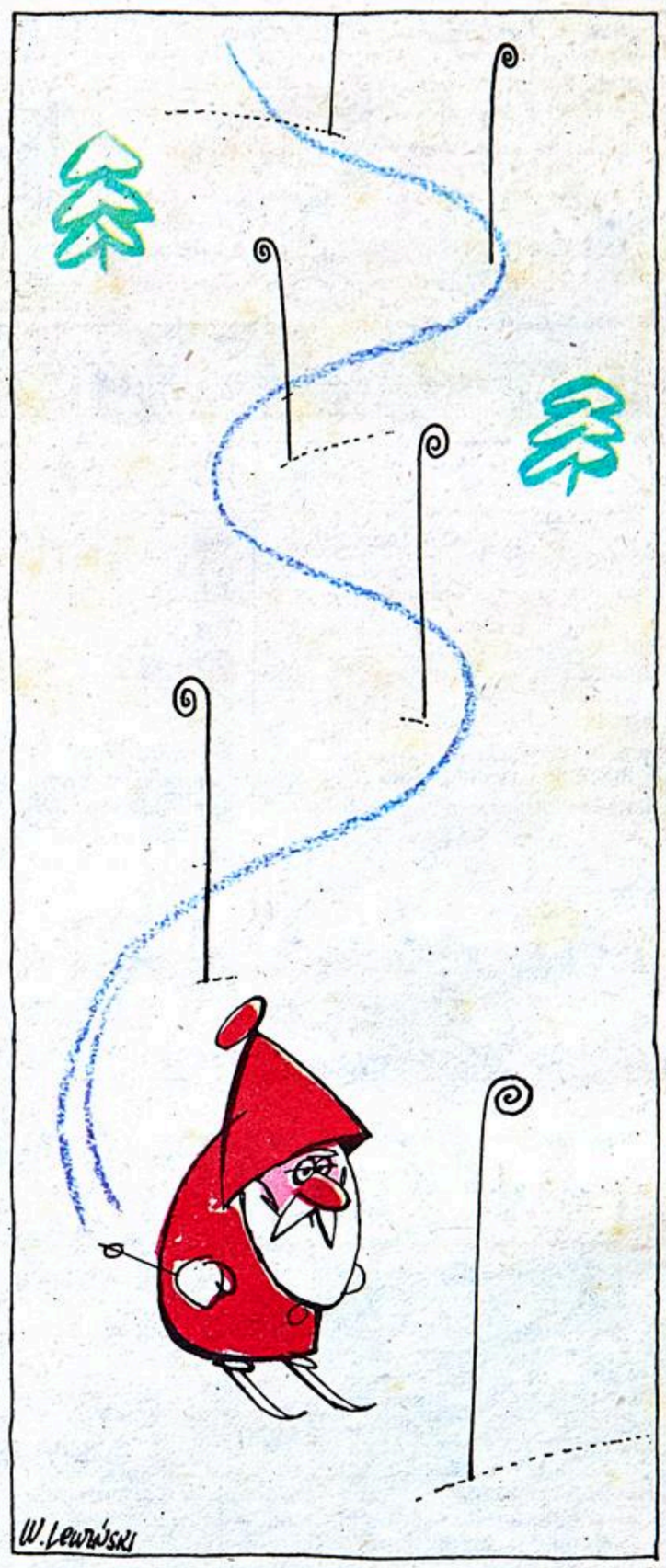

– Ja?!

– Tak, ty. Jeden raz, dziś. Wtedy... będzie mi łatwiej. Potem już będę dawała sobie radę sama.

– Thea, nie jestem nawet w jednej czwartej tak dobrym nurkiem jak Ras. Jeśli coś by się stało, nie mógłbym być dla ciebie takim zabezpieczeniem jak on. – To nie była odmowa, i ona na szczęście, tak właśnie zrozumiała. Zmarszczyła brwi.

– Nic nam nie grozi, Ray – nic takiego, czemu można by przeciwstawić umiejętności, znajomość morza, siłę... Gdyby tak było, James... To przychodzi gdzieś z zewnątrz, ale jest w nas – nie, nie tak; pobudza coś w nas samych, znajduje jakby jakiś oddźwięk, rezonans. Stąd bierze się ten lęk. Człowiek powinien, musi sam nad tym zapanować. Poradzić sobie z własnym uczuciem lęku, nie poddać się panice. Dlatego, że jest sobą, że tak postanowił, tak chce...

– Nie wiem, czy to wystarczy.

– Ja także nie jestem tego pewna. Ale muszę spróbować. Dla siebie samej. Żeby nie być zmuszoną do powiedzenia sobie: „może mogłabyś, ale nie spróbowałaś"... rozumiesz?

– Chyba tak.

– Ty sam też tak myślałbyś. Wiem, jestem pewna. Nie cofnąłbyś się przed tym. Nie zrezygnował.

– Thea, tak niewiele wiesz o mnie. Przeceniasz mnie.

– Nie. Ale to... inna sprawa. Teraz... po prostu nie chcę, nie potrafię się poddać. Muszę spróbować. Nic mi nie grozi – poza tym co jest we mnie. Pod wodę zejdą z nami automaty, w tym dwa ratunkowe, które, gdyby cokolwiek zagrażało jednemu z nas, natychmiast udzielą nam pomocy; jeżeli wolisz, przez cały czas możemy poruszać się w polu ochronnym... Proszę cię, zgódź się, Ray.

Nie miałem żadnych sensownych powodów do dalszego oporu; moja przeklęta umiejętność odczytywania myśli, gdyby się znów pojawiła, tym razem nie mogłaby nic zniszczyć i niczemu przeszkodzić, przeciwnie, mogła się tylko przydać, skoro dzięki niej zdołałbym przejąć strach Thei, zrozumieć jej decyzje wcześniej, niż ona byłaby skłonna się nimi ze mną podzielić. Skinąłem głową.

– Dobrze, kiedy?

– Wolałabym nie zwlekać. – Powiedzmy – za pół godziny. Będę czekać na pokładzie łodziowym.

Kiedy wyszła, przez długą chwilę patrzyłem w iluminator; ocean był niezmiennie błękitny, niebo bezchmurne – tylko w pewnej odległości od „Ariadny" snuły się nad powierzchnią wody kłaczki żółtawej mgły; widok do którego w ciągu ostatnich dni zdążyliśmy wszyscy się przyzwyczaić. Po raz drugi poczułem dojmujący żal za tym co mogło być, a już się nie wydarzy, co mnie i Thei zostało odebrane, nieodwołalnie i na zawsze, w tej samej chwili gdy pocałowałem ją – po raz pierwszy i ostatni zarazem; kiedy, trzymając w obu rękach jej małą, ciemną, ufnie poddającą się głowę, zacząłem nagle przejmować wszystkie jej myśli. To, że od tamtego momentu nie mogłem już jej dotknąć, że między nami wyrósł mur, nie zostało spowodowane ich małością; nie było w nich nic niskiego, nieskończenie ohydny wydawał mi się sam fakt, że bez jej wiedzy i zgody wdzieram się w nią, w to co najintymniejsze, najbardziej dla każdego własne – w świat zastrzeżony, zamknięty jeszcze przede mną, i w jakimś zakresie mający być niedostępny dla innego człowieka zawsze. Że wchodzę w nią tak ukradkiem, podglądając jej myśli, i że co gorsza, to może powtarzać się także w innych chwilach zbliżenia, skoro to moje – niezawinione przecież, niechciane a mimo to ani trochę mniej wstrętne – podpatrywanie było czymś tak zupełnie ode mnie niezależnym. Później, kiedy już przeszedł pierwszy wstrząs i próbowałem chłodno wszystko rozpatrzeć, zrozumiałem, moja umiejętność stanie się kiedyś torturą dla nas obojga i dla każdego z nas, bo ona nigdy nie będzie mogła być pewna, że każda jej myśl, najdrobniejsza, najbardziej osobista, nie jest właśnie w tej chwili przeze mnie odbierana, a ja wciąż będę świadomy faktu, że przy mnie musi bez przerwy się kontrolować, że nigdy nie jest, nie może być swobodna – i ta straszliwa – inwigilująca wszystkie jej myśli i uczucia moja obecność musi być dla niej udręką. Było tylko jedno wyjście i jedyna decyzja jaką mam prawo podjąć, a przecież nawet teraz, w trzy dni po jej podjęciu, ogarniała mnie głucha rozpacz, wściekłość na tę rozumną czy bezrozumną siłę wtrącającą się w moje życie, na siebie i na Theę, choć właśnie ona niczemu nie była winna.

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA:

PIÓRO contra FLAMASTER

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA, PAWEŁ

9

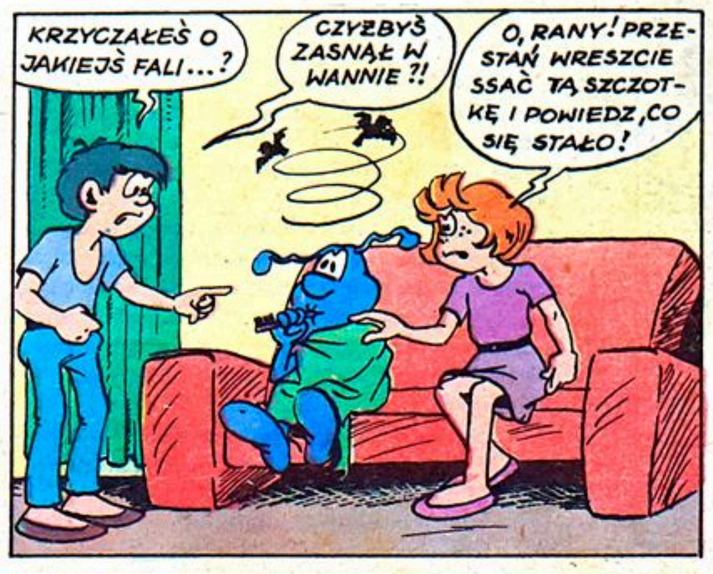

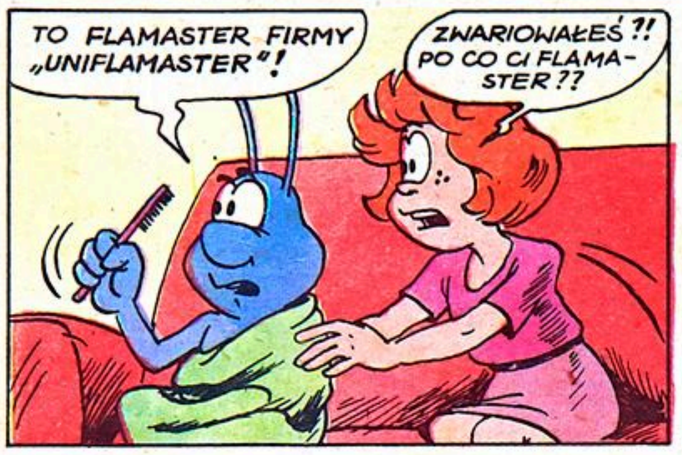

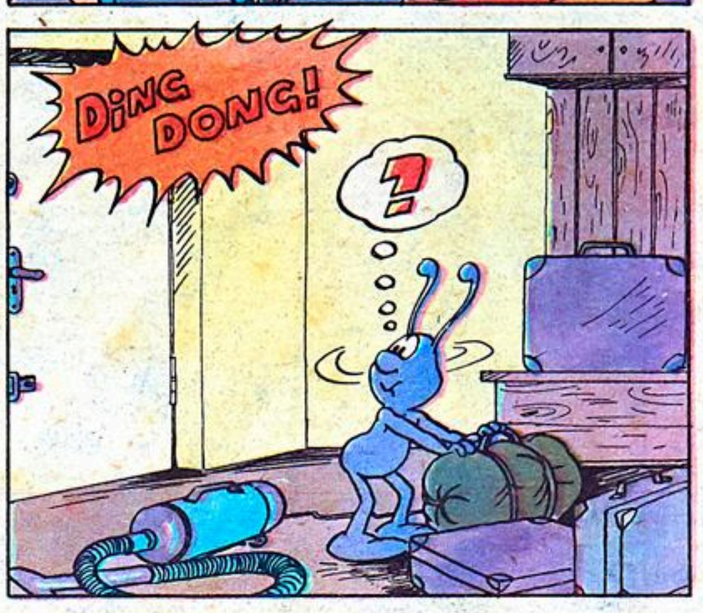

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wrobleski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11–15).

TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bojska

Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Barbara Wasilewska
Nakład 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4979/G. M-95

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

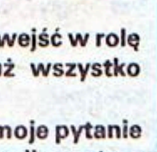

UŚMIECH NUMERU

– TATO, MIAŁEM taki radosny sen: śniło mi się, że mi pożyczyłeś dwieście złotych!
– Ucieszę Cię jeszcze bardziej: nie musisz mi ich oddawać!

*

– PODAJCIE mi jakiś przykład zwierzęcia, które już nie żyje na naszej planecie!
– Nasz kanarek, proszę pani! Wczoraj zjadł go nam kot sąsiada...

*

– TADEK, smakował Ci ten cukierek, którym Cię wczoraj poczęstowałem?
– Owszem!
– To dziwne! A nasz Azor nie chciał go jeść...

30 czerwca 2084 r.

Dziś przyszła do mnie Thea: byłem w pracowni sam, kiedy zapytała, nieśmiało, nie odważając się nacisnąć zwalniacza drzwi – musiałem otworzyć je sam, z wewnątrz.

Stała na progu, trochę bledsza, z podkrążonymi oczami, ale tak samo ładna, rozbrajająca swoją kruchością i wielkimi oczyma dziecka, w których – nawet po tych trzech dniach – nie było żalu ani wyrzutu; chyba właśnie dlatego zawstydziłem się, że ani razu w ciągu minionych dni nie zdobyłem się na to by ją odwiedzić, zapytać jak się czuje, czy nie potrzeba jej czegoś... Sądziłem, że tak będzie lepiej, lepiej dla nas obojga: skoro to wszystko, co zaczynało się między nami skończyło się – z mojej winy – nim jeszcze naprawdę mogło się zacząć i skoro nawet nie zdołam jej wyjaśnić... nie powinienem robić niczego, co to jej jakieś... oczarowanie? – zainteresowanie mną? – mogłoby podtrzymać. Ale w tej chwili, patrząc na nią, tak w niczym nie podobną, a tak ogromnie przypominającą mi Kris, pożałowałem i tego także: że nigdy, nic między nami nie będzie, wiedząc, że to mogłoby być dobre i wielkie – dla każdego z nas.

– Nie przeszkadzam ci, Ray?

– Nie, nie pracuję, siedzę tutaj tylko tak. Wejdź.

Przeszła przez pracownię, drobna i smukła w lekkiej, jasnej sukience; pomyślałem, że to odstępstwo od codziennego stroju zrobione zostało dla mnie, znów czując żal za tym, co mogłoby być, ale nigdy nie stanie się już naszym udziałem. Przystanęła przy biurku, obracając się ku mnie; patrząc na jej niepewne ruchy pomyślałem, że ona mnie się boi, odbierając tę świadomość jak krzywdę, bo przecież chciałem dla niej wszystkiego najlepszego, zrobiłbym dla niej... może nie wszystko, jak mówiło się kiedyś, ale na pewno dużo, dałbym jej każdą z tych rzeczy, o jakie kobieta może prosić mężczyznę – każdą, z wyjątkiem siebie.

– No, powiedz, jak się czujesz? – zapytałem, usiłując wejść w rolę pod tytułem „stary, poczciwy wujaszek Ray". – Już wszystko dobrze?

Ale ona nie chciała poczciwego wujaszka; ignorując moje pytanie patrzyła na mnie prosto, otwarcie i tak szczerze jak rzadko patrzą kobiety; jej oczy pociemniały – z gniewu, czy z żalu? – ale opanowała się prawie natychmiast, na chwilę tylko przygryzła dolną wargę.

– Mam prośbę – powiedziała takim tonem, jakby to było pierwsze zdanie padające w rozmowie. Rozejrzała się nagle już całkowicie swobodna, panująca nad sobą; nie widząc w pobliżu krzesła usiadła na brzegu biurka, śliczna w tej swojej „wielkoświatowej" sukience, założyła nogę na nogę, zaplotła ręce, obejmując nimi kolana. – Przyszłam cię prosić, żebyś mi pomógł, Ray. Nie mogę przecież bać się do końca życia. Nie chcę się bać. Muszę ten lęk przełamać, inaczej nigdy już nie zdołam zejść pod powierzchnię, po prostu... skończę się, wiesz. Więc zdecydowałam: dziś znowu popłynę do Bimini. W to samo miejsce, gdzie wtedy... gdzie się to ze mną zaczęło. Tam, gdzie James Martin...

Urwała, mocniej zaciskając splecione ręce; zobaczyłem, jak pobielały kostki ściśniętych kurczowo palców. Pochyliłem się i zajrzałem w jej drobną, bladą, poważną twarz; nie była wcale tak spokojna jak starała się udać. Była zmęczona, wytrącona z równowagi, przybita – lecz mimo to uparła się, zacięła w swoim postanowieniu. Dokończyła z determinacją:

– Więc dziś popłynę. Do tego miasta, które jest tam, pod wodą. Pamiętam miejsce, w którym to się zaczęło. Ten... stach. Jeśli powróci... muszę go opanować. To może nie być łatwe, dlatego... dlatego chciałabym cię prosić, żebyś ten pierwszy raz popłynął ze mną.

Dokończenie na str. 7